POSTSCRIPTUM

KWARTALNIK SZKOŁY JĘZYKA, LITERATURY I KULTURY POLSKIEJ • UNIWERSYTET ŚLĄSKI W KATOWICACH

W NUMERZE:

W Polsce, czyli tu i ówdzie, str. 2
Prescriptum, str. 3
Nowy rektor Uniwersytetu Śląskiego, str. 4-5
Nowi prorektorzy Uniwersytetu Śląskiego, str. 6
Prof. János Aczél doktorem honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, str. 7
Rozmowa z profesorem Janem Miodkiem, str. 8
Sylwetka profesora Jana Miodka, str. 14
Jaka jesteś współczesna polszczyzno? Wykład profesora Jana Miodka, str. 15
Indoeuropejska wspólnota językowa – praindoeuropejskie korzenie. Wykład profesora Gerharda Meisera, str. 22
László Kálmán Nagy, Kilka uwag o nauczaniu historii literatury polskiej na Węgrzech, str. 32
Recenzje, str. 40
Kronika, str. 44

...polska ortografia, która generalnie jest sto razy łatwiejsza od ortografii niemieckiej, francuskiej czy angielskiej, dla przeciętnego użytkownika języka jest czymś makabrycznym. A my tę makabryczność sobie tylko stwarzamy konwencjonalnymi regułami typu *nie* z imiesłowami

Prof. Jan Miodek w wywiadzie dla *Postscriptum*

NR 17 • WIOSNA 1996

W POLSCE, CZYLI TU I ÓWDZIE

➔ Problemy z określeniem swoich sympatii politycznych (jako lewicowych lub prawicowych) deklaruje 39% Polaków, zdecydowanie po stronie lewej opowiada się 29%, a po prawej 32%.

➔ Polacy najczęściej dają łapówki lekarzom, pielęgniarkom, policjantom oraz egzaminatorom z prawa jazdy. Najrzadziej księżom i dziennikarzom.

➔ Na częstochowskim dworcu kolejowym podczas przerw w zapowiedziach pociągów wygłaszane są przez megafon pogadanki na temat życia seksualnego.

➔ Co miesiąc bankrutuje w Polsce około 25 tysięcy firm prywatnych, a jednocześnie powstaje 30 tysięcy nowych.

➔ Najczęściej fałszowanym w Polsce dokumentem są dowody rejestracyjne samochodów. Pieniądze są na drugim miejscu.

➔ Tylko 27% polskich dróg nie wymaga naprawy.

➔ O każde miejsce w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie ubiegało się w tym roku 22 kandydatów.

➔ Rzecznik Komendy Stołecznej Policji w odpowiedzi na stosowne pytanie przyznał publicznie, że „Ty kurwo, chodź tutaj" nie może być uznane za wezwanie do wylegitymowania się.

➔ W Szczecinie domorośli racjonalizatorzy podłączali pralki do sieci centralnego ogrzewania, by nie płacić za grzanie wody. Gdy zjawisko to stało się masowe, elektrociepłownia zaczęła barwić wodę na zielono.

➔ Alicja Gałuszka, osiemnastoletnia uczennica z Wrocławia, pobiła światowy rekord w zapamiętywaniu. Zapamiętała, a następnie odtworzyła z pamięci ciąg tysiąca cyfr. Wynik został zarejestrowany w Księdze rekordów Guinessa.

Powiedzieli (lub im się powiedziało):

➔ Szef sztabu generalnego gen. Tadeusz Wilecki o Danucie Waniek (kierownik Kancelarii Prezydenta): „Nie gustuję w ciepłych wdowach".

➔ Malarka Hanna Bakuła: „Właściwie poza sztuką i seksem nic mnie nie interesuje".

➔ Były prezydent Lech Wałęsa: „Jeśli się Europa zintegruje, to może zostanę przewodniczącym albo prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy. Tego jeszcze nie miałem".

➔ Popularny aktor Cezary Pazura: „W naszym kraju być popularnym aktorem, to najgorsze, co może go spotkać".

PRESCRIPTUM

Szanowny Czytelniku,

oddajemy do Twoich rąk kolejny numer "Postscriptum". Ten numer ma już nową szatę graficzną, gdyż ukazał się też pod nową redakcją. Redaktorem Naczelnym został Jan Grzenia. Mamy wielką nadzieję, iż zmiany zostaną przez Ciebie, Czytelniku, przyjęte bardzo ciepło.

Numer, który właśnie bierzesz do ręki jest numerem tematycznym - przeważają w nim teksty językoznawcze: jest wywiad z najbardziej obecnie znanym polskim językoznawcą prof. Janem Miodkiem i jego wykład o współczesnej polszczyźnie, jest wykład prof. Gerharda Meisera z Halle o praindoeuropejskich korzeniach indoeuropejskiej wspólnoty językowej, jest wreszcie tekst Laszlo Nagy'a z Debreczyna o nauczaniu języka polskiego na Węgrzech. Teksty są przy okazji odbiciem całorocznej działalności Szkoły. Oba wykłady były wygłoszone w Katowicach, dla studentów polonistyki, a ich inicjatorem była Szkoła. Z kolei tekst Nagy'a został odczytany na konferencji poświęconej recepcji literatury polskiej w świecie, którą Szkoła zorganizowała w dniach 5-6 czerwca 1995 z okazji nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego Stanisławowi Barańczakowi.

Jest to więc numer o języku polskim od zarania dziejów po najbliższą nam współczesność. Kolejne numery będą też numerami monograficznymi - wedle koncepcji nowego Redaktora. Najbliższy numer to... numer filmowy. Życzymy przyjemnej lektury.

Jola Tambor i Romuald Cudak

Nowy rektor Uniwersytetu Śląskiego

W maju i czerwcu społeczność akademicka Uniwersytetu Śląskiego dokonała wyboru nowych władz uczelni na wszystkich szczeblach. Największe emocje towarzyszyły – rzecz jasna – wyborom rektora.

Wybory rektora odbywają się dwustopniowo. Najpierw poszczególne środowiska (starsi i młodsi pracownicy naukowi, studenci oraz pracownicy administracyjni i techniczni) wybierają według określonego klucza swoich przedstawicieli do kolegium elektorów. Następnie elektorzy, których w tym roku było 199, dokonują wyboru rektora spośród zgłoszonych kandydatów; głosowanie to jest tajne. Wybrany rektor przedstawia później elektorom propozycje obsady stanowisk prorektorów.

Zaproponowano troje kandydatów: prof. Genowefę Grabowską z Wydziału Prawa i Administracji, prof. Mariana Pulinę z Wydziału Nauk o Ziemi, a z Wydziału Filologicznego – prof. Tadeusza Slawka.

Elektorzy przystąpili do głosowania 14 maja, zapoznawszy się z kandydatami na zorganizowanym dzień wcześniej spotkaniu. Pierwsza tura wyborów nie przyniosła rozstrzygnięcia.

Zdj. M. Grzegrzólka

Prof. dr hab. Tadeusz Slawek – nowy rektor Uniwersytetu Śląskiego

gdyż nikt z ubiegających się o urząd rektora nie uzyskał wymaganej większości głosów. Jasne jednak się stało: kto jest faworytem (na prof. Tadeusza Sławka oddało głosy 79 elektorów), kto oprócz niego przejdzie do drugiej tury wyborów (prof. Genowefa Grabowska, którą poparło 55 elektorów) i kto odpadł w pierwszej turze (prof. Marian Pulina – przegrał ze swoją konkurentką tylko jednym głosem).

Nic jednak nie było przesądzone i wyników drugiej tury oczekiwano z wielkim zainteresowaniem i ogromną niepewnością. Zwyciężył prof. Tadeusz Sławek, za którym opowiedziało się 119 elektorów, podczas gdy prof. Genowefa Grabowska otrzymała 69 głosów. Informację komisji skrutacyjnej o wyborze rektora zebrani przyjęli owacją na stojąco.

Sylwetka nowego rektora

Prof. dr hab. Tadeusz Sławek urodził się w Katowicach w roku 1946. Studiował polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, a po ukończeniu studiów w roku 1973 rozpoczął pracę na Uniwersytecie Śląskim. W latach od 1990 do 1994 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Filologicznego. Pełni także funkcję kierownika Zakładu Historii Literatury Angielskiej i Teorii Literatury. Jego najważniejsze publikacje z ostatnich lat to: *The Dark Glory. Robinson Jeffers & His Philosophy of Time, Earth & Things* (Katowice 1990), *Lines, Planes & Solids. Studies in XVII Century Writings* (z T. Rachwałem, Katowice 1992), *Maszyna do pisania. Derrida i teoria literatury* (z T. Rachwałem, Warszawa 1992).

W wywiadzie udzielonym *Gazecie Uniwersyteckiej* przed wyborami prof. Tadeusz Sławek powiedział m.in.: *Ja posiadam obraz urzędu rektorskiego jako, w pewnym sensie, „ciała zbiorowego", stanowionego przez rektora i bardzo ściśle z nim współpracujących czterech osób – prorektorów, którzy będą mieć szerokie kompetencje w przydzielonych zakresach działania. [...] skuteczność działania rektorów będzie mierzona ich ścisłą współpracą z wydziałami. Urząd rektora musi być urzędem „lotnym", inicjującym i uczestniczącym w obiegu informacji. Zapewniając stały przepływ informacji można już teraz wiele rzeczy usprawnić. [...] Myślę, że rektorzy mają też etyczny obowiązek zabierania głosu publicznie w ważnych kwestiach tyczących się społeczności naukowej i środowiska lokalnego a wykraczających poza mury uniwersytetów.*

Nowi prorektorzy naszego Uniwersytetu

Wybory prorektorów odbyły się tydzień później – 21 maja, ponieważ nowo wybranemu rektorowi przysługuje prawo zaproponowania swoich zastępców. Zebranie kolegium elektorów rozpoczęło się więc od wystąpienia rektora-elekta i prezentacji czwórki kandydatów na cztery stanowiska prorektorów. Rektor przedstawił zebranym kandydatów, po czym przystąpiono do tajnego głosowania. Wszyscy kandydaci uzyskali aprobatę wybierających, co oznacza, że razem z rektorem rozpoczną urzędowanie 1 września.

Prof. Zofia Ratajczak jest psychologiem specjalizującym się w psychologii pracy i organizacji. Przez najbliższe trzy lata będzie pełnić funkcję prorektora do spraw nauczania.

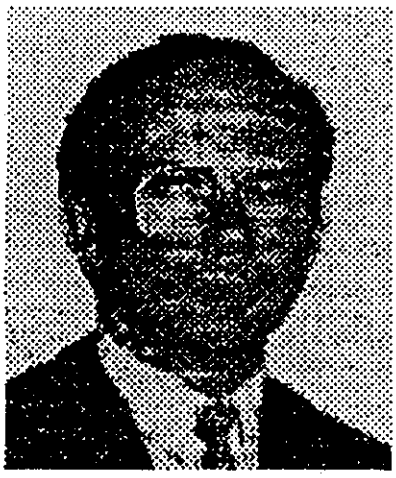

Prof. Krystian Roleder specjalizuje się w fizyce ferroelektryków. Został wybrany na stanowisko prorektora do spraw studenckich.

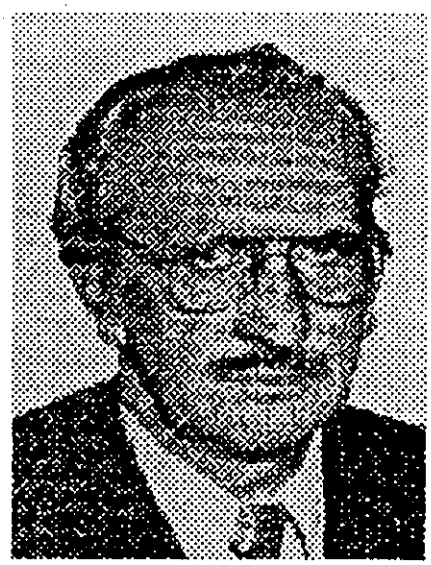

Prof. Alojzy Kopoczek jest muzykiem, muzykologiem i folklorystą. Powierzono mu funkcję prorektora do spraw Filii w Cieszynie.

Prof. Jacek Jania geolog, glacjolog, geomorfolog. Wkrótce obejmie stanowisko prorektora do spraw nauki.

Prof. János Aczél doktorem honoris causa Uniwersytetu Śląskiego

János Aczél jest matematykiem znanym przede wszystkim jako twórca teorii równań i nierówności funkcyjnych. Urodził się na Węgrzech w roku 1924, tam też skończył studia i uzyskał stopnie naukowe. Wyemigrował w latach sześćdziesiątych i choć osiadł w Kanadzie, jest związany z wieloma ośrodkami naukowymi na całym świecie – wykładał na uniwersytetach w Niemczech, USA, Japonii, Australii, Hiszpanii, we Włoszech a także w Polsce (w latach 1989 i 1992 przedstawiał wyniki swoich badań na Uniwersytecie Śląskim). Jest członkiem towarzystw naukowych w kilku krajach, organizatorem i przewodniczącym wielu konferencji naukowych. Pracuje naukowo na kanadyjskim University of Ontario.

Na temat równań i nierówności funkcyjnych oraz ich zastosowań prof. János Aczél ogłosił około 250 publikacji, m.in. *Lectures on Functional Equations and Their Applications*, *Functional Equations in Several Variables* (napisana wraz z J. Dhombres'em), *On Measures of Information and Their Characterisations* (współautor: J. Daróczy).

Prof. János Aczél jest blisko związany z polskim środowiskiem naukowym. Owocem tych kontaktów są liczne publikacje przygotowane przez niego wspólnie z polskimi matematykami. Dwa lata temu prof. Aczél powierzył katowickiemu ośrodkowi równań funkcyjnych organizację prestiżowego International Symposium of Functional Equations.

Na podstawie artykułu Romana Gera z Gazety Uniwersyteckiej (czerwiec 1996).

ROZMOWA

z profesorem Janem Miodkiem

JG — Chcielibyśmy zacząć od problemu, z którym musi zetknąć się każdy człowiek przykładający jakąś wagę do staranności wysłowienia się. Mianowicie: w niektórych podręcznikach, na przykład w *Słowniku poprawnej polszczyzny*, znajdują się uwagi dotyczące niepoprawności takich sformułowań, jak *w międzyczasie, w oparciu o...* (np. *założenia*) i innych. Tymczasem można je spotkać w użyciu, a nawet w pracach wybitnych językoznawców, na przykład Zenona Klemensiewicza. Co ma w takiej sytuacji począć użytkownik polszczyzny – respektować zalecenia poradników, czy zwyczaj językowy?

JM — Jasną jest rzeczą, że ta ocena jest nieuchronnie skażona piętnem subiektywizmu. Oczywiście, że mam takich kolegów, którzy tolerują *w oparciu o coś* i używają *w oparciu o coś*. Mam też takich, skądinąd bardzo łagodnych, jak na przykład profesor Siciński, który w momencie, gdy zobaczy w pracy magisterskiej *w oparciu o coś*, dostaje gęsiej skórki. Ja gęsiej skórki nie dostaję, ale nie używam, nie lubię tej konstrukcji. Oczywiście twierdzę, że norma uzualna nakazywałaby tę konstrukcję dopuścić, bo widzę ją w tekstach najwybitniejszych ludzi pióra i luminarzy nauki, kultury. Mówią tak dosłownie wszyscy. Ja akurat, jeśli idzie o *w oparciu o coś*, jestem tradycjonalistą i nie używam tego wyrażenia, a magistrantom swoim je poprawiam, na przykład na *opierając się na czym*.

Jeśli chodzi o *międzyczas* pisałem już o tym wiele razy, między innymi w *Języku Polskim*. Zwłaszcza inteligencja polska, wiedząc że ten *międzyczas* jest jeszcze dość kontrowersyjny dla niektórych i występując też z pozycji jakichś kategorii logicznych, traktuje go z dystansem. Co drugi inteligent w Polsce, używając tego wyrażenia, mówi *w tak zwanym międzyczasie – w tak zwanym międzyczasie podam państwu wyniki głosowania* itd. *Międzyczasu* bronię z bardzo wielu powodów. Przede wszystkim z powodów funkcjonalnych. Kisiel by powiedział „z pijanym hałasem" protestuję przeciw temu, co przez lata całe głosił klasyczny przecież dla nas profesor Doroszewski. Mia-

nowicie twierdził on, że zawsze można powiedzieć *tymczasem* zamiast *w międzyczasie*, co jest dla mnie absolutną nieprawdą – *tymczasem* to nie jest substytut *w międzyczasie*. „Ja tu sobie siedzę, a *tymczasem* zrób mi kawy" – tak, natomiast jeśli mam o drugiej zebranie, a o godzinie piątej mam wizytę u dentysty, to ja *w międzyczasie* mogę cię odwiedzić, a nie *tymczasem*, jak twierdził Doroszewski do końca życia. A więc *międzyczas* jest potrzebny, to nie jest to samo, co *tymczasem*.

Profesor Doroszewski coś jeszcze mówił: że jeśli już, to zgodnie z modelem słowotwórczym typu *Międzygórze, Zalesie* lepsze byłoby *międzyczasie*. Niby tak, ale nie można zapominać, że bardzo wiele nazw miejscowych typu *Podgórze* zamieniło się w nazwy typu *Podgóra*, *Zalesie* przekształciło się w *Zalas*, a więc ten *międzyczas* nie jest aż takim wielkim potworkiem słowotwórczym, jak myślą niektórzy.

Wreszcie w terminologii szachowej jest *niedoczas*, szachiści *są w niedoczasie*, jeśli zbyt wolno grają. Więc jeśli chodzi o *międzyczas*, to jestem jego

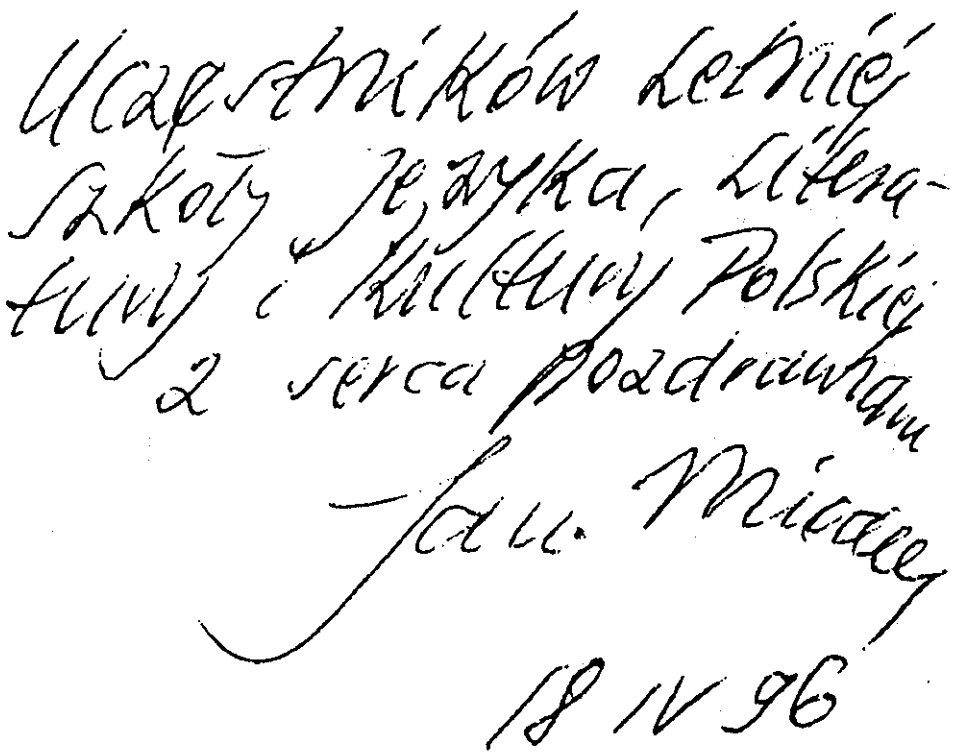

absolutnym zwolennikiem. Jeśli jest to nawet kalka niemieckiego *in der Zwischenzeit*, była to kalka językowi polskiemu bardzo potrzebna. Tak jak *cieszenie się na coś*. Jeśli nawet jest to kalka z niemieckiego *sich auf etwas freuen*, była to kalka potrzebna, bo cieszę się z czegoś, co teraz trwa. Nie mogę powiedzieć, że się *cieszę z wakacji*, bo wakacje będą dopiero za dwa miesiące. Ja się mogę *cieszyć na wakacje*, które dopiero za dwa miesiące będą. Dlatego

już u Reymonta, Prusa, Dąbrowskiej występuje *cieszę się, cieszymy się na coś*. Ale mimo to niektórzy mówią „to germanizm!".

JG — To były przykłady wyrazów, w przypadku których zachodzi dysonans między zwyczajem językowym a zaleceniami w wydawnictwach poprawnościowych. Natomiast są jeszcze takie zalecenia w tych wydawnictwach, które dla człowieka nie mającego przygotowania specjalistycznego, a nawet dla specjalisty są bardzo trudne w zastosowaniu. Klasycznym przykładem jest reguła nakazująca łączną pisownię *nie* z imiesłowami.

JT — Właśnie. Jakie jest zdanie Pana Profesora – za czy przeciw?

JM — To idiotyzm! Kretynizm! Moi starsi koledzy, na przykład Walery Pisarek, mówią „Panie kolego, taż w roku pięćdziesiątym pierwszym czy drugim była gotowa ustawa upraszczająca". Ktoś temu ukręcił łeb! *Przekrój* to ujawnił. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko powiedzieć, że my Polacy potrafimy sobie tak okropnie skomplikować życie!

I efekt jest taki, że polska ortografia, która generalnie jest sto razy łatwiejsza od ortografii niemieckiej, francuskiej czy angielskiej, dla przeciętnego użytkownika języka jest czymś makabrycznym. A my tę makabryczność sobie tylko stwarzamy konwencjonalnymi regułami typu *nie* z imiesłowami. Bo przecież nie *rz–ż, ó–u*; który przeciętnie lotny człowiek ma kłopoty z *rz–ż, ó–u*? Słowo honoru państwu daję, nie ma dnia, żebym nie miał pytania w pracy czy w domu: „jak się pisze *nie istniejący, nie wykorzystany, nie klasyfikowany, nie promowany*", to co, to nagle ten naród zidiociał? Nie, reguła jest idiotyczna. Pełna braków. Proszę mi powiedzieć, dlaczego *książka nieznana* ma być napisana łącznie, a *książka nie znana Kowalskiemu* oddzielnie? Efekt jest taki, że najczęściej pisze się na odwrót, bo coś ludzie wiedzą, że jest jakiś tam mały niuans.

JT — Natomiast w tej chwili chyba jest zdecydowana możliwość przywrócenia łącznej pisowni *nie* z imiesłowami ze względu na to, że wszystkie nowe klasyfikacje części mowy uważają imiesłowy za przymiotniki.

JM — Bo to są przymiotniki. Oczywiście.

JG — Następny problem dotyczy wzorów językowych. Skąd je czerpać, skoro – jak widać – niektóre podręczniki nie mogą być wykorzystywane bez zastrzeżeń, a rola literatury jako wzoru już się skończyła. Czy środki masowego przekazu mogą spełniać taką rolę, czy muszą?

JM — No niestety, muszą. I taka rada na użytek każdego człowieka, który o to pyta. Warto sobie znaleźć kilka osób, bo przecież takich osób jest trochę w Polsce, które pięknie, ekspresyjnie, mądrze mówią. Zapatrzeć się w nie i zasłuchać. Ja dziękuję losowi, że mi takich ludzi zesłał, w których się właśnie

mogłem zapatrzeć, zasłuchać. I myślę, że to jest jakiś klucz. Jakiś autorytet jest każdemu człowiekowi potrzebny, każdemu człowiekowi.

JG — A więc jako całość środki masowego przekazu nie mogą być takim wzorem.

JM — Jako całość nie, tylko wybiórczo. Trzeba – powtarzam – znaleźć kogoś, w kogo warto się zapatrzeć i zasłuchać.

JG — Następna kwestia dotyczy zapożyczeń. Nasz wywiad jest przeprowadzany głównie na użytek obcokrajowców, którzy mogą oczywiście spotkać w języku polskim dublety leksykalne typu *consulting*||*doradztwo*, *opcja*||*możliwość* itp. W podręcznikach właśnie często się zaleca Polakom używanie w takich wypadkach raczej rodzimych wyrazów, nie obcych, ponieważ jakoby więcej jest błędów z użyciem wyrazów pochodzenia obcego. Z punktu widzenia obcokrajowca może być wręcz odwrotnie.

JM — Odwrotnie. Oczywiście. Zawsze mówię tak: szanujący się kibic wie, co to jest *korner, ofsajd, golkiper, speedway, basket*. Tak jak szanujący się filolog wie, co to jest *singularis, pluralis, nominativus, genetivus* i tak dalej. Tylko teraz – ten szanujący się kibic czy ten szanujący się filolog powinien wyczuwać, że najcudowniejszą cudownością języka jest to, że ja mogę sięgać w różnych sytuacjach po różne konstrukcje językowe. Ja ich mam w ogóle pod ręką kilka w każdej sytuacji życiowej. I można teraz powiedzieć: każda obca konstrukcja jest wzbogaceniem stylistycznym dla każdego z nas. Chodzi tylko o to, by się jej manierycznie nie uczepić, bo wtedy jesteśmy już o krok od snobizmu – przykrej przywary ludzkiej.

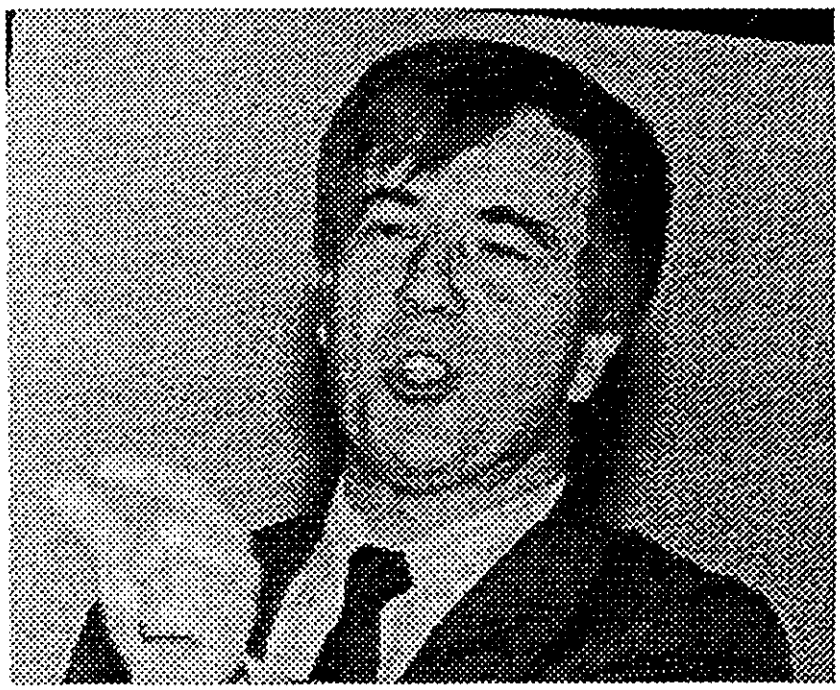

Zdj. Zenon Żyburtowicz

A zatem niech te słowa będą wśród nas, ale niech na miły Bóg będą one używane przemiennie. Niechże ten sprawozdawca sportowy jeszcze czasem o *żużlu* powie, czy o *koszykówce*, a nie używa tylko *speedwaya* i *basketu*. Popatrzmy czasem na *przeźrocza*, niekoniecznie tylko i zawsze na *slajdy*. I tak

ja bym to widział. No przecież nie do wyrzucenia są *leasing, lokaut, spółka joint venture*. Czym można zastąpić *leasing*? „*Leasing* jest to rodzaj dzierżawy polegającej na..." trzeba by go zastąpić kilkuzdaniową definicją. A język sobie z tym poradzi, bo skoro mówimy *leasingu, leasingiem*, to znaczy, że zachodzi przecież adaptacja fleksyjna. Głupia i denerwująca jest zawsze manieryczność, a więc wyłączne posługiwanie się obcą konstrukcją.

JG — Powiedział Pan, że język sobie z tym poradzi, co jest wyrazem ufności, że język jest to mechanizm samoregulujący się.

JM — Samoregulujący się, tak, tak.

JG — Czy to znaczy, że poprawnościowcy są niepotrzebni?

JM — Nie, oni są potrzebni. Są potrzebni ludzie, którzy o języku mówią. Twierdzę, że najmądrzejsze zdanie o kulturze języka wypowiedział w Polsce kilkadziesiąt lat temu Stanisław Szober, który powiedział, że kultura języka zaczyna się w tym momencie, w którym pojawia się samoświadomość. Więc jeśli człowiek w tym codziennym zabieganiu chociaż raz w tygodniu przez pięć minut pomyśli sobie: ale właściwie dlaczego ja tak mówię, a skąd się to wzięło – to jest to kultura języka.

To jeśli chodzi o fakty gramatyczne. Jeśli natomiast idzie o fakty stylistyczne, pewien normatywizm jest też potrzebny. Są potrzebni ludzie, którzy zwracają uwagę na niestosowność jakiegoś odezwania się w danej sytuacji życiowej. Nie chciałbym też być ptakiem, który podcina gałąź na której siedzi. Tyle że widziałbym dla nas [popularyzatorów kultury języka – przyp. red.] większą rolę odkrywaczy pewnych wewnętrznych mechanizmów językowych, a w mniejszym stopniu policjantów. Oczywiście że przeciętny Polak traktuje mnie jako takiego językowego policjanta, który tylko nadsłuchuje, co by tu wyłapać i potępić. A mnie akurat ta rola nie bardzo odpowiada. Ja raczej chciałbym być spolegliwym doradcą, tak bym powiedział językiem Kotarbińskiego.

JT — Panie profesorze, inna kwestia szczegółowa: czy przy stosowaniu skrótowców należy używać wyrazów określających w takim samym rodzaju, w jakim jest główny rzeczownik w skrótowcu?

JM — To zależy od stopnia przyswojenia tego skrótowca. Proszę zobaczyć, że *PWN* [Państwowe Wydawnictwo Naukowe – przyp. red.] chociażby stał się skrótowcem już tak całkowicie zleksykalizowanym, że kiedy firma ta uległa reorganizacji, powstała nowa nazwa *Wydawnictwo Naukowe PWN*. Można powiedzieć: z punktu widzenia logiki bezsens absolutny, ale nic jest to bezsens. Minęło tyle lat, że *PWN* stał się wyrazem (proszę zobaczyć, że mówię naumyślnie „stał się") całkowicie zleksykalizowanym; tak jak *Ossolineum, Iskry, Czytelnik, PIW* i tak dalej.

JT — Czyli: *ZChN zrobił*...

JM — *ZChN* to nie *PWN*, bo istnieje dopiero sześć lat. Myślę, i to badania mojej magistrantki sprzed lat pokazały, że w mowie prędkiej, szybkiej – *ZChN zrobił*; w tekście pisanym, któremu towarzyszy jakaś refleksja, ponieważ jest *to Zjednoczenie*, pojawi się forma *ZChN wystosowało pismo*.

JT — W takim razie uważa Pan Profesor, że skrótowce niezbyt dawne, nie całkiem zleksykalizowane należałoby jeszcze traktować jako mające rodzaj identyczny z rodzajem głównego rzeczownika.

JM — Nie potępię dziennikarza, który mi napisze *ZChN zorganizował*, czy *wystosował*. Nie potępię, absolutnie, bo droga ku leksykalizacji jest nieuchronna. Ze znanych skrótowców takiej właśnie absolutnej leksykalizacji uległy *PWN, PKO*... Chociaż nie wiem, czy sobie państwo przypominają – przed paroma laty w jednej z reklam telewizyjnych dziecięcy chórek śpiewał *...nasza znana PKO*. Przecierałem wtedy oczy ze zdumienia i mówiłem „na miłość boską, co oni robią!". Przecież już wszyscy mówią *PKO wypłaciło, PKO jest mi winne*, a tu nagle chórek dziecięcy śpiewa *znana PKO*, czyli ten skrótowiec deleksykalizuje, odwołując się do *Powszechnej Kasy Oszczędności*. Pamiętam, że wtedy publicznie powiedziałem, że taka reklama może spowodować raczej niekorzystny proces deleksykalizacji tego całkowicie zleksykalizowanego skrótowca.

JG — Chcieliśmy prosić jeszcze o ocenę ekspansji potoczności w języku oficjalnym.

JM — Ona jest zbyt duża. Widzę to we wszelkich kręgach, na przykład na ambonie, w kręgach kościelnych, które do tej pory były stylistycznie nienaganne. Tymczasem teraz biskup Pieronek mówi, że coś tam *przechlapaliśmy*. Prymas Glemp mówi, że kardynał Wyszyński tak umiał sobie zagospodarować czas w więzieniu, że *nie mógł się wyrobić*. Tutaj trzeba wymienić też metafory sportowe w języku kaznodziejskim. Mam na ogół stosunek bardzo optymistyczny do zjawisk językowych, ale ten brak wyczucia stylistycznego i to natrętne wchodzenie potoczności i – szerzej bym powiedział – luzu komunikacyjnego, bardzo mnie niepokoi. Od gestu obu rąk w kieszonkach przy ogłaszaniu werdyktu jury jakiegoś festiwalu (coś niesamowitego!) po właśnie publiczne wypowiedzi tego typu, że coś mamy *przechlapane*, a ktoś tam *nie mógł wyrobić*, a to się tam *wkurzył*, a to ktoś kogoś *opierniczył*.

Powiadam, nawet w języku ludzi Kościoła, których zawsze odbieraliśmy jako tych, którzy stylistycznie umieją się znaleźć, widzę też tę pewną modę na luz, który szczególnie w tej sferze jest irytujący, czy zdumiewający. To są wypowiedzi typu *Chrystus, jak by nie było, umarł za nas na krzyżu*. Jedno *jak by nie było* i kazanie zostało położone.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmowę przeprowadzili: Jolanta Tambor i Jan Grzenia

SYLWETKA

profesora Jana Miodka

Prof. Jan Miodek – najbardziej znany polski językoznawca i popularyzator wiedzy o języku urodził się w Tarnowskich Górach w roku 1946. Od dawna jest związany z Uniwersytetem Wrocławskim, na którym skończył studia polonistyczne. W roku 1973 uzyskał tytuł doktora, zaś dziesięć lat później habilitację. Obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim, pełni tam też funkcję dyrektora Instytutu Filologii Polskiej.

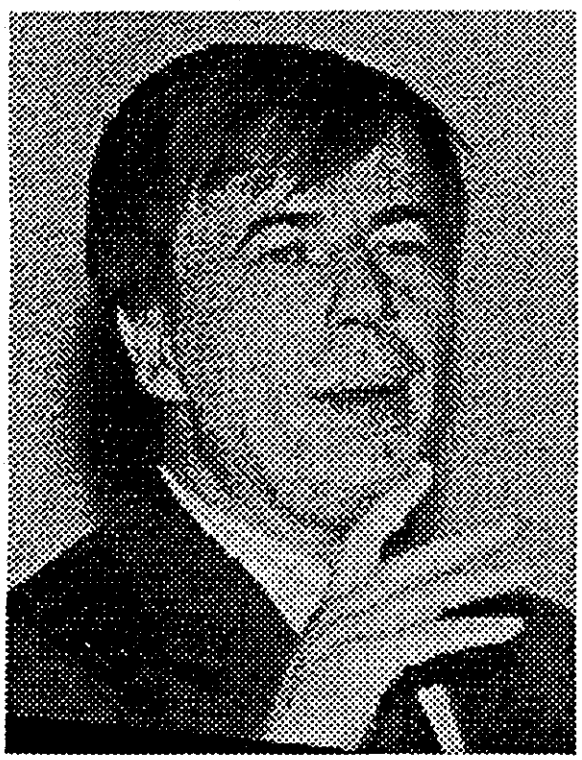

Zdj. Zenon Żyburtowicz

Działalność popularyzatorską rozpoczął w roku 1968, publikując cotygodniowe felietony we wrocławskim dzienniku „Słowo Polskie", które pisuje dla tej gazety do dziś. Wielką popularność zdobył, prowadząc od roku 1987 bardzo ceniony program telewizyjny *Ojczyzna polszczyzna* (obecnie nadawany co niedzielę rano w II programie Telewizji Polskiej). Dowodem uznania ze strony publiczności była nagroda Wiktora przyznana już kilka lat temu prof. Miodkowi jako wybitnej osobowości telewizyjnej.

Prof. Jan Miodek jest autorem dużej liczby artykułów i kilku książek, z których najbardziej znanymi są: *Rzecz o języku* (1983), *Odpowiednie dać rzeczy słowo. Szkice o współczesnej polszczyźnie* (1987), *O języku do kamery* (1992).

WYKŁADY

Jan Miodek

Jaka jesteś współczesna polszczyzno?

Jaka jest współczesna polszczyzna? W nakreśleniu obrazu współczesnej polszczyzny bardzo pomagają mi listy telewidzów. Śmiem twierdzić, że pomijając takie po ludzku ciepłe sytuacje spotkań, to racjonalnie i obiektywnie, czy nawet z punktu widzenia naukowego, największym moim kapitałem związanym z prowadzeniem już od dziewięciu lat telewizyjnej „Ojczyzny-polszczyzny" jest to, że ja mam niewątpliwie wgląd w stan świadomości normatywnej współczesnych Polaków. To jest z naukowego punktu widzenia mój najcenniejszy kapitał. I taką książkę chciałbym napisać: o stanie świadomości normatywnej współczesnych Polaków.

Czy w ciągu dziewięciu lat od 1987 roku, w którym „Ojczyzna-polszczyzna" zaczęła się, obserwuję jakieś zmiany istotne? Powiedziałbym tak: gdybym tu dzisiaj do Katowic przywiózł wszystkie listy, jakie do tej pory otrzymałem i otrzymuję, odpowiednio poklasyfikowane, posegregowane, zobaczyliby Państwo, że ciągle największa sterta listów poświęcona jest akcentowi. To zjawisko prozodyczne wywołuje najżywszy rezonans społeczny. A gdyby moje telefony: domowy i służbowy mogły mówić, potwierdziłyby to. Wystarczy, że taka czy inna osoba w radiu czy telewizji niepoprawnie zaakcentuje jakiś wyraz, one już „tyrczą": Słyszał Pan tego pana? to ktoś taki znany, a powiedział „fizyka" na przykład.

To zjawisko – akcent – wywołuje najżywszy oddźwięk społeczny. Tak jest w większości języków świata. Tak poprawnościowcy z innych krajów też to widzą i też o tym mówią, i piszą. To jest bardzo wyraziste zjawisko fonetyczne, prozodyczne. Dlatego wywołuje rezonans społeczny największy. I powiedzmy sobie od razu zwłaszcza w tym gronie, że jest to zjawisko, w stosunku do którego można mówić o jakimś najsilniejszym konflikcie pokoleniowym, między – mówiąc w skrócie – starymi a młodymi. Nietrudno się domyślić, że ludzie starsi, zwłaszcza należący do inteligencji, są tutaj wierni

wzorcowej normie, która zwraca uwagę na liczne wyjątki od swojskiego paroksytonicznego akcentu padającego na przedostatnią sylabę.

Grupa słów kończących się na *-ika*, *-yka* jest tak wielka, że tworzy swoisty podsystem akcentuacyjny. Oczywiście są jeszcze formy trybu warunkowego, czasu przeszłego i wyjątki typu *okolica*, z drugiej strony jest naturalny dla ewolucji języka proces usuwania wyjątków. Trudno akcentowania typu *logika*, *fizyka*, *matematyka*, *okolica* – nie określić mianem akcentowania wyjątkowego. Więc na zasadzie zdrowej dialektyki, czy na zasadzie komplementarności zmaga się we współczesnej polszczyźnie żywioł elitarny z żywiołem egalitarnym, zmagają się z sobą tradycja, konserwatyzm z progresywizmem. Jasną jest rzeczą, że w procesie akwizycji, przyswajania języka, kiedy maleńkie dziecko słyszy tysiące form typu: *mamusia*, *butelka*, *firanka*, *skarpetka*, *Katowice* – do tego szeregu tysięcy form w pewnym momencie dołączy *logikę*, *fizykę*, *muzykę* i *gramatykę*. Ja to mogę zrozumieć. Co nie znaczy, bym wśród przedszkolaków, jeśli mi się zdarzy taka sytuacja życiowa (a zdarza mi się), bym nie przypominał, że jednak *logika*, *fizyka*, *muzyka* i *gramatyka* są takimi wyrazami, gdzie trzeba w innym miejscu akcent postawić. To samo w postaciach typu *widzieliśmy*, *przeczytaliście*, *chodziłbym z tobą*, *poradziłbym ci*, *spytałbym o coś* i tak dalej, i tak dalej. Nie muszę tu chyba mówić wprost, jaką normę należy preferować.

Pamiętajcie Państwo, że co się ma stać, to się i tak stanie w języku; język, żeby żyć, musi się zmieniać, a zmieniając się, staje się coraz wygodniejszym narzędziem porozumiewania się. Ale pamiętajcie, byście się tak nie zapatrzyli tylko w tę tendencję, byście baczyli na to, że te konieczne zmiany wprawdzie muszą następować, ale tempo tych zmian musi być wolne, bo tylko dzięki wolnemu tempu nieuchronnych zmian dokonujących się w języku nasze międzyludzkie porozumiewanie się jest tak przezroczyste, że właściwie go nie zauważamy, tak jak nie zauważamy przezroczystej szyby, czy nie zastanawiamy się nad ruchami warg. Dlatego ten konserwatyzm jest błogosławiony, nie waham się tego tak określić.

Od 1989 roku – nie muszę mówić co to za data w historii Polski – zachwiały się proporcje na dalszych miejscach owej sterty listów – jeśli mogę tak sportowo mówić. Zdecydowanie po akcencie, na czoło w listach telewidzów wysunęła się problematyka i tematyka zapożyczeń w języku polskim. I od razu powiem: tonacja tych listów jest, jak lubię mówić żartobliwie, rejtanowsko-kasandryczno-piotrowoskargowa. To idzie w parze z wypowiedziami typu: „Panie wykupią nas! Niemcy! Amerykanie! wykupią nas!". Jakiś hotel gdzieś ktoś buduje: „wykupią nas!" – straszne polskie kompleksy! A jeśli idzie o język, no to oczywiście: „nie będzie *sklepów*, będą *markty*, *markety*, terminologia komputerowa, no i co to w ogóle będzie". Polszczyzna ze-

jdzie do podziemi. Trzeba uszanować takie społeczne niepokoje, nie można ich lekceważyć, one są w jakimś stopniu rozczulające. Oczywiście, że stają się irytujące jeśli graniczą o miedzę ze skłonnościami do nacjonalizmu – niestety, takie listy też otrzymuję.

Natomiast domyślają się Państwo, że – nie dlatego, iż jestem z natury raczej optymistą nie przyłączam się do chóru kasandryczno-rejtanowskiego – czasem widzę niezadowolenie z tego powodu i słyszę jakieś komentarze, że ja sam lekceważę problem. Nie, nie lekceważę, ale nie ukrywam, że bliższa mi jest metafora Melchiora Wańkowicza, który mówił, że język jest jak rzeka, która oczywiście wchłania w siebie, w swój nurt wszystkie nieczystości, lecz ostatecznie u swego ujścia jest czysta i klarowna – i mówił Wańkowicz: w języku też jest jakaś przepotężna siła samooczyszczania. Oczywiście że to, co się dzieje w relacji polsko-angielskojęzycznej w ciągu ostatnich siedmiu lat, to jest coś bardzo, bardzo ważnego i istotnego, to jest swoisty stylistyczno-gramatyczny przewrót kopernikański w dziejach polszczyzny. I oczywiście możemy sobie powiedzieć, że ujawniają się – i widzimy to na każdym kroku – poczynania językowe, które trzeba by określić mianem neofickiej nadgorliwości. Każdy neofita jest nadgorliwy. Więc my, którym „wydarzyła się wolność", jak mówi Józef Tischner, takeśmy się tą wolnością zachłysnęli, także od strony językowej otwarciem na świat – a w tym świecie angielszczyzna już od lat pełni taką samą funkcję, odgrywa taką samą rolę jak w średniowieczu łacina. Każde dziecko skandynawskie jest dwujęzyczne.

Od razu powiem: oczywiście uczcie się państwo angielskiego i niemieckiego, i hiszpańskiego. Uczcie się języków obcych. Ale jest też ta neoficka nadgorliwość i są zjawiska, które graniczą o miedzę z groteską. Proszę państwa, jeśli wasza rówieśnica (gdybym nie słyszał na własne uszy, to bym pomyślał, że ktoś sobie wymyślił tę historyjkę) w rozgłośni wrocławskiej radia ze swego rodzinnego *Wałbrzycha* robi *Łołbrzych*, ktoś z *Izaaka* robi *Aizaka*, z *Benjamina* – *Bendżamina*, z *Nike z Samotrake* – *Naike z Samotrake*, z pruskiego feldmarszałka i późniejszego prezydenta *Hindenburga* – *Haidenbur-*

ga, z *Alberta Speera* hitlerowskiego architekta i ministra uzbrojenia *Alberta Spira* – to są językowe zachowania dość groteskowe.

Chociaż znów można by powiedzieć: „patrzcie co się to porobiło" – mówiąc językiem zupełnie nienaukowym, ale plastycznym. Przecież przez wieki było tak, że ponieważ język niemiecki był językiem sąsiada, tośmy z angielskiego *stormu* zrobili *sztorm*, ze *Stockholmu*, zrobiliśmy *Sztokholm*, a pamiętam byli tacy, którzy nawet z łacińskiego *schematu* czy *schizmy* usiłowali robić z niemiecka *szemat* czy *szizmę*. Starsi ludzie z zaboru austriackiego czy pruskiego przyznają mi się: „wie pan, ja do dziś mam ochotę mówić o *szmalcu* a nawet *szporcie*, a nie o *smalcu* i *sporcie*"; prawda, tak było przez wieki. Dzisiaj doczekaliśmy się tego, że z pruskiego feldmarszałka *Hindenburga* ktoś robi *Haidenburga*.

Przeżycie językowe dosłownie sprzed paru dni: żona piecze ciasta na święta, patrzę na torebkę doskonałej przyprawy do sernika... jak ona się nazywa? *Sernix*!!! Dalej jakiś Feliks Kowalski założył firmę – klęknąłbym przed nim za to, że w ogóle założył firmę, bo mnie się też jak Kisielowi marzyła Polska wolnych producentów i cieszę się, że dożyłem takiej Polski. No, ale teraz muszę tak od strony pejzażu językowego na to spojrzeć, Feliks Kowalski zakłada firmę (mogę powiedzieć *tertium non datur*, tam trzeciej możliwości żadnej nie będzie): firma Feliksa Kowalskiego będzie się nazywała *Felix* (ten poczciwy *Feliks* będzie się pisał przez *x*), albo od owego *Kowalskiego* – *Kowalex*, tak jak właściciel *Mirosław* nazwie swoją firmę *Mirex*, a *Sławomir* – *Sławex*. Właściciele firm są bardzo kurtuazyjni wobec swoich towarzyszek życia, więc bardzo często imię żony idzie też na szyld – no, ale taka poczciwa *Ala* – myślą państwo, że to będzie *Ala* czy *Alicja*? – to będzie *Alice*, nie będzie *Anny* tylko *Anne*, *Małgosia* to będzie *Margeritha* itd.

Proszę państwa, opowiem państwu zupełnie groteskową sytuację z Pomorza. Jakiś znany i wielki właściciel składów rzeźniczych, no jego pech – to tak, jak ja bym miał wielkie pasieki, a nazywam się Miodek – że on się nazywa Gnatowski, wszystkie swoje sklepy na Pomorzu od Kościerzyny przez Gdańsk i Sopot nazwał *Gnatex*. Kolega, który to zobaczył, mówi: „oniemiałem – na sklepie mięsnym *Gnatex*", ale dalej jak kot za szpyrką: nie mógł odejść i nagle czyta, że to dlatego jest *Gnatex*, że właściciel nazywa się *Gnatowski*.

Mówiliśmy o tym na ostatniej radzie wydziału kilka dni temu (zbliża się pierwsza rocznica śmierci uroczego człowieka, najstarszego polonisty wrocławskiego profesora Jana Trzynadlowskiego, teoretyka literatury, który umarł w wieku 84 lat; był to człowiek niesamowicie wesoły i umarł, opowiadając dowcip – jakie życie, taka śmierć). Trzynadlowski przyjechał kiedyś na radę wydziału i mówi do mnie: „panie kolego tak patrzę na te szyldy i widzę: Jan Piekarski – mistrz kowalski, a za chwilę: Jan Kowalski – mistrz piekarski" –

trzeba było być Trzynadlowskim, żeby takie rzeczy dostrzegać.

Proszę Państwa, i o czym są te listy poświęcone anglicyzmom? No, o tym. Przed chwilą powiedzialem, że to wszystko, co związane jest z nową rzeczywistością, można określić mianem przewrotu kopernikańskiego. Myślę, że *Janexy, Kowalexy* to jeszcze nie jest przewrót kopernikański. Przewrotem kopernikańskim nie jest i to, że wasze pokolenie lubi wzdychać po angielsku: *wow! wow!* i *wow!* Myślałem kiedyś, że zwariuję: ze swoją dawną studentką tarnogórzanką jechałem z Wrocławia do Tarnowskich Gór. Najpierw ucieszyłem się, że podróż mi szybciej zleci, bo pogadamy sobie, ale już gdzieś na wysokości Kluczborka miałem ochotę powiedzieć: „dziewczyno, jak mi jeszcze raz powiesz *wow*, to nie wiem...". Mówię to też pod rozwagę. Jeśli już jesteś bardzo zafascynowana tym *wow!*, bo wszyscy tak krzyczą w telewizji, w radiu, pamiętaj, jak z kimś jedziesz z Wrocławia do Tarnowskich Gór, co pięć minut powiedz chociaż: *o rany! co pan powie! Jezus Maria!* A ja tylko słyszałem *wow! wow!* i *wow!* do zwariowania. Ale mimo to nie nazywam tego przewrotem kopernikańskim.

Nie jest również przewrotem kopernikańskim znów językowy znak waszego głównie pokolenia: już nie mówicie *tak, tak jest, owszem*, a nawet nie mówicie *okej* , a tak bym wolał, bo cały świat zna *okej*, wy macie teraz nowe przytaknięcie: *dokładnie*. „Mickiewicz umarł w 1855 roku. *Dokładnie*". Moi kochani, perfidny anglicyzm, bo na powierzchni odprzymiotnikowy przysłówek *dokładnie*. Ale dobrze wiecie, choć spora część ludzi nie wie jednak, że w języku angielskim można przytaknąć króciutko *yes*, ale można też przytaknąć mówiąc *exactly*, a *exactly* skalkowane to tyle, co *dokładnie*. Mogę was pocieszyć. Włosi robią to samo, o czym Umberto Eco pisze w swoich „Notatkach na pudełku od zapałek". Mówią *esato, esato*, a to jest to samo, co nasze *dokładnie*. Mówcie czasem *okej, jasne, tak, tak jest*. Ale i tego nie nazwę przewrotem kopernikańskim.

Natomiast przewrotem tym nazwę coś innego. Chcę tu zacytować fragment swojej nowej książki, która wyjdzie za dwa, trzy miesiące. To tekst, który zatytułowałem „*Seks-symbol*, czyli przewrót kopernikański w polskiej gramatyce". Piszę tutaj tak: „Z perspektywy *kicz-wrażliwości* – wrażliwości kiczowatej – świat przypomina film ze Schwarzeneggerem. Kicz-wrażliwość nie jest w stanie zrozumieć struktury wielogłosowej. Powstanie kicz-struktura, w której wszyscy będą tacy sami i wszystko będzie jednakowe" – czytam przed paroma miesiącami w jednym z artykułów publicystycznych. Patrzę na tę *kicz-wrażliwość*, raz skonfrontowaną z wrażliwością kiczowatą, na *kicz-strukturę* i... niczemu się nie dziwię, chociaż takie połączenia są absolutnie tożsame formalnie z całkowicie obcymi systemowi polszczyzny formacjami *kartofel-zupa* czy *zamsz-but*. *Zupy kartoflanej, zupy z kartofli, kartoflanki,*

buta zamszowego, buta z zamszu i *zamszaka* nikt już w Polsce nie zdoła zamienić na *kartofel-zupę* i *zamsz-but*, są to bowiem postacie zbyt silnie utrwalone w powszechnej świadomości językowej. Ostatnie lata przyniosły jednak taki zalew niezgodnych z tą tradycją połączeń – właśnie typu *kicz-wrażliwość, kicz-struktura* – z członem odróżniającym na pierwszym miejscu, że trzeba mówić o nowej regule morfologiczno-składniowej polszczyzny, przejętej z języków zachodnioeuropejskich – z angielskim na czele. Popatrzmy, ile wokół nas form temu wzorcowi podporządkowanych!

Oto w jednej z gazet czytam o Humphreyu Bogarcie: „Autorzy próbują objaśnić, kto go uznał za seks-symbol". Mamy więc *seks-symbol*, a nie zgodny z tradycyjną regułą *symbol seksu*.

A teraz kilka znamiennych nagłówków prasowych: „Simpsonmania", „LEGO nagrody", „Biznesplan", „Inflacja 95 story", „Szwedzka taxi-wojna", „Rock encyklopedia", na kolumnie sportowej gazety wrocławskiej: „Fan-kąt Śląska". I w nich człony odróżniające (*Simpson, LEGO, biznes, inflacja, taxi, rock, fan*) – na sposób angielski czy niemiecki – umieszczono na początku. Serię tę można uzupełnić tytułami programów telewizyjnych: „Biznes Informacje", „Biznes Tydzień", „Sport Telegram", „Kutz Fest", „Rock Raport", „Auto Magazyn".

A skoro się tu pojawił „Auto Magazyn", dodajmy, że połączenia z pierwszym członem *auto-* stanowią najliczniejszą grupę wśród tego typu struktur. Zaczęło się przed kilkunastu laty od *autonaprawy*, a teraz już jest *autoalarm, autoczęści, autopunkt, automyjnia, Auto Świat* (tytuł czasopisma Springerowskiego, które ma swoją mutację w Polsce) itp. Tak jak *„Auto Świat"* funkcjonuje inne czasopismo – *„Jazz Forum"*, a tak jak *Express Narty – Ski Giełda* (dostrzegłem ją przed kilkoma miesiącami w Karpaczu!)

Mamy przedsiębiorstwa „Odra-Film" i „Karkonosze Tour", a także wyścig kolarski „Bieszczady Tour". Po Wrocławiu jeżdżą autobusy należące do „Sobiesław Zasada Centrum SA". Dzwoni do mnie kiedyś Ewa Demarczyk z pytaniem: „Wyruszam w tournée, czy mogę wyruszyć z plakatem Ewa Demarczyk Teatr?". Ja mówię: „Pani Ewo, *kartofel-zupa* to jest". „A jak napiszę tradycyjnie Teatr Ewy Demarczyk?". Ja mówię: „Pani Ewo, kto nawet w Japonii nie będzie wiedział, z kim ma do czynienia, jak pani tylko to *-a* zamieni na *-y*?" – ale ona nie wymyśliła tego, to jej impresario. Przed paroma miesiącami odwiedziłem w Poznaniu „Park Hotel", każdego zaś dnia o poranku uśmiecha się do mnie przy śniadaniu „orzechowy nugat krem".

W całej Polsce są „Kredyt Banki" i „Cuprum Banki". W księgarni mogę kupić książkę-poradnik pod tytułem „Wideowyświetlanie" – tak jak przy jednej z ulic Wrocławia mógłbym chodzić na naukę gry w tenisa, tyle że jest to już na szyldzie „Tenis-nauka"!! No, a za parę miesięcy nasz zmysł wzroku

będzie atakował kolejny „Sopot-festiwal".

Prawie wszyscy dziennikarze piszą już tylko o „fit-fali", „porno-fali", „soft-pornografii" czy „spec-ustawie". Czasem jeszcze zmagają się w nich żywioły starych i nowych obyczajów gramatycznych, bo oto na przykład nagłówek pewnego artykułu brzmi tradycyjnie „Zagadka Eco", ale już parę linijek niżej mamy zdanie: „Recenzent próbuje drążyć tytułową Eco-zagadkę".

O podatności rodaków na obce wpływy językowe niech świadczy jeszcze jeden znamienny przykład: oto wśród listów i kartek świątecznych adresowanych do mojej rodziny znalazła się i taka przesyłka od znajomych z USA (a są tam zaledwie parę lat), na której było napisane „Miodek Family".

Nie jest jeszcze ustabilizowana pisownia tych wszystkich złożonych struktur. Jak Państwo widzą, spotyka się i formy z kreską w środku, i łącznie, i rozdzielnie napisane. Utrwalił się natomiast – podkreślmy to raz jeszcze – sam zwyczaj ich konstruowania. Jest on – nie waham się użyć takiego określenia – przewrotem kopernikańskim w stosunku do kilkusetletniej tradycji gramatycznej polszczyzny. A spośród wszystkich znaków językowych nowej rzeczywistości – tej po roku 1989 – jest on najistotniejszy, stokroć ważniejszy od mody na szyldy typu „Sławex", „Mirex", „Kowalex" czy „Felix", „Anne" i „Alice"!

To jest proszę państwa z punktu widzenia – jak się mówiło tradycyjnie jeszcze w XIX stuleciu – ducha języka, jak dziś mówimy: systemu języka, rzeczywiście zjawisko najważniejsze. Tamto to jest moda, która przeminie pewnie, kiedy opadnie ta neoficka euforia. Byłbym purystą, gdybym żądał wyeliminowania z powszechnego obiegu *spółek joint-venture, leasingu, holdingu* – czym to zastąpić? Wielozdaniową definicją, że *leasing* to rodzaj dzierżawy polegającej na... No któż by tak mówił? Te konstrukcje musiały wejść do polszczyzny, one są zaadaptowane, odmieniamy je przez przypadki, przyjdzie czas, że będą też zaadaptowane i graficznie (niektóre z nich, te, które się dadzą zaadaptować). Natomiast tam, gdzie manieryczność, tam gdzie snobizm, tam pewien mój stylistyczny niepokój. Z punktu widzenia systemowego – posłużę się jeszcze raz tą metaforą – za przewrót kopernikański w dziejach polszczyzny uważam utrwalenie się tych struktur morfologicznych, których człon odróżniający jest wysunięty na pierwsze miejsce. To jest typ, powtórzę swoje ulubione przykłady, *kartofel-zupa* czy *zamsz-but*.

Wykład prof. Jana Miodka został wygłoszony w kwietniu br. w budynku Wydziału Filologicznego. Organizatorami były katowickie koło Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego oraz Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej.

WYKŁADY

Gerhard Meiser

Indoeuropejska wspólnota językowa – praindoeuropejskie korzenie

1.1. Każda nauka i każda dyscyplina nauki próbuje odpowiadać na jakieś pytania bulwersujące człowieka. Jak brzmi więc pytanie postawione nauce o językach indoeuropejskich?

Pytanie podstawowe tak bym sformułował: *Dlaczego pewne języki, którymi mówiono dziś lub kiedyś w dalekiej przestrzeni, ograniczonej przez Indie na wschodzie, a Europę na zachodzie, są stosunkowo podobne do siebie; natomiast nie da się stwierdzić takich podobieństw w stosunku do innych języków jak np. do języka hebrajskiego lub do tureckiego?* Jako przykład mogą służyć liczebniki od „1" do „7":

polski	*st.-ind.*	*grecki*	*lacina*	*gotycki*	*litewski*	*turecki*	*hebrajski*
jeden	eka	heís	ūnus	ains	víenas	bir	ʾächad
dwa	dva	dúō	duō	twai	du	iki	šnayim
trzy	trayas	treis	trēs	(treis)	trys	üç	šlošah
cztery	čaturas	téttares	quattuor	fidwor	keturi	dört	ʾarbʿah
pięć	panča	pénte	quinque	fimf	penki	beş	ḥamišah
sześć	ṣaṭ	heksi	sex	saihs	šeši	alti	šišah
siedem	sapta	heptá	septem	sibun	septyni	yedi	šibʿa

Widać, że duża część tych liczebników z pierwszych sześciu kolumn (poza nazwą liczby „jeden") jest bardzo podobna do siebie, tym bardziej, gdy się porównuje nazwy liczb języka nieindoeuropejskiego, np. tureckiego lub hebrajskiego. Podobieństwa między językami indoeuropejskimi są jeszcze bardziej oczywiste, jeżeli bierze się pod uwagę rozwój pojedynczych form. W języku greckim spółgłoska *s* przed samogłoską rozwijała się regularnie do *h*, więc

heksi 'sześć' powstało z **seksi*[1], *heptá* 'siedem' z **septa*, por. np. łac. *sex septem*.

Takie porównania „materialne" stały na początku historii indoeuropeistyki. Jednak szybko o wiele ważniejsze okazały się podobieństwa materialno-strukturalne, jak na przykład relacja między formami czasownika *być* – liczba pojedyncza *jest*, liczba mnoga *są*. Ta relacja, zupełnie nieregularna z punktu widzenia morfologii polskiej, stale powraca w językach indoeuropejskich, por.:

polski	*staro-indyjski*	*grecki*	*łacina*	*gotycki*
jest	asti	estí	est	ist
są	santi	(eisí)	sunt	sind

Temat czasownika w liczbie pojedynczej tu ma inny, pełniejszy kształt – *es-* (praindoeurop. **hes-*) niż w liczbie mnogiej *s-* (praindoeurop. **hs-*). Podobna relacja, nazwana „apofonią", występuje do dnia dzisiejszego w języku niemieckim między formami *weiß* (wie) – *wissen* (wiedzą) itp. Takim podobieństwom materialno-strukturalnym przypisano większą siłę dowodową niż odpowiednikom czysto materialnym, które mogą być spowodowane zapożyczeniami z jednego języka do drugiego. I tak książka „założycielska" indoeuropeistyki, wydana w 1816 r. przez Franza Boppa, nosi tytuł „O systemie koniugacji (fleksji werbalnej) języka sanskryt, w porównaniu z systemem języka łacińskiego, greckiego, perskiego i germańskiego"[2]. Jak głosi tytuł książki, autor tu nie zajmuje się rozważaniami teoretycznymi, czym może być pokrewieństwo języków, czy jak można je udowodnić. Po prostu analizuje fleksję werbalną wymienionych języków i sprawdza, czy pojedyncze systemy i ich elementy porównane pasują do siebie.

2.1. Znalezienie i analiza takich cech wspólnych jest pierwszym stopniem. Drugim jest ustalenie i formułowanie reguł, według których takie odpowiedniki materialne i strukturalne występują, bo tylko pewne cechy jednostek porównywanych okazują się identyczne, inne jednak są odmienne. Porównując np. polskie słowo *gród* z jego odpowiednikami w innych językach słowiańskich, rosyjski *gorod*, lub serbsko-chorwacki *grad*, stwierdzamy identyczność spółgłosek /g/, /r/, /d/, a równocześnie odmienność samogłosek /ó/ ~ /a/ ~ /o-o/. Można oczywiście znaleźć mnóstwo podobnych relacji, por. polskie *dro-*

---

[1] Gwiazdka * oznacza, że cytowana forma nie jest udokumentowana, lecz zrekonstruowana.

[2] Franz Bopp: *Über das Konjugationssystem der Sanskritsprache, in Vergleichung mit jenem der griechischen, lateinischen, persischen und germanischen Sprache*, Frankfurt/M. 1816.

gi, broda, krowa, król z rosyjskimi *dorogoj, boroda, korówa, korol'* i serbsko-chorwackimi *dragi, brada, krava, kralj* itp. Z takich i innych przykładów można wywodzić regułę: polskiemu */-ro-/* lub */-ró-/*, odpowiada ros. */-oro-/*, oraz serbsko-chorwackie */-ra-/*. Jednak ta reguła nie zawsze się sprawdza: polskiemu *proszę* odpowiada ros. *proszu*, a nie †*poroszu*, a serbsko-chorwackie *prosim*, a nie †*prasim* (por. polskie *brod* ~ rosyjskie *brod* ~ serbsko-chorwackie *brod*). Istnieją więc niby dwa rodzaje polskiej grupy */-ro-/*, jeden, który regularnie brzmi tak samo w innych językach słowiańskich, i drugi, któremu tak samo regularnie w rosyjskim odpowiada */-oro-/*, a w językach południowosłowiańskich */-ra-/* (tzw. metateza prasłowiańskich grup TorT, TolT). Ostatecznie grupie *ro*, wspólnej wszystkim językom słowiańskim, odpowiada indoeuropejska grupa *ro* lub *ra*, na przykład z polskim czasownikiem *prosić* etymologicznie jest związany łaciński rzeczownik *procus* 'mężczyzna, który prosi o rękę dziewczyny', tej drugiej natomiast indoeuropejska grupa *or* lub *ar* (pol. *broda*, ros. *boroda*, srb.-chorw. *brada* ~ łac. *barba* i niem. *Bart*).

2.2. Ustalenie takich regularnych relacji materialnych i strukturalnych oznaczało z różnych względów wielki postęp w językoznawstwie. Bo historią języka, a zwłaszcza etymologią, zajmowano się od dawna – pierwszym takim zbiorem rozmaitych porównań etymologicznych, chociaż w formie raczej karykaturalnej, jest dialog *Kratylos* greckiego filozofa Platona. Do 19. wieku jednak zupełnie niemożliwe było ustalenie zasady dla formułowania takich porównań. Jak najbardziej słuszna była ironiczna wypowiedź przypisana Voltaire'owi: „Etymologia to nauka, w której spółgłoski mało, a samogłoski nic nie znaczą". Tą nową metodą można było udowodnić, że na przykład nie istnieje żaden związek etymologiczny między niemieckim czasownikiem *findet* 'znajduje' a staroindyjskim *vindati* 'znajduje', mimo podobnego kształtu i znaczenia, bo regularnie na początku słowa germańskiemu *f-* nigdy nie odpowiada staroindyjskie *v-*. Germańskiemu *f-* raczej odpowiada w innych językach *p-*, por. ang. *father*, łac. *pater*, st.-ind. *pitar-*. W taki sposób niemieckie *finden* wiąże się z staroindyjskim *panthas*, scs. *poti-*, rosyjskim *puti* 'droga', pol. *pąć*. Można zastanawiać się, co dla Germanów znaczyły pojęcia 'znajdować' i 'droga'. Czy chodziło pierwotnie o znalezienie dróg przez nieprzebyte lasy Germanii, opisane przez Tacyta?

Tak samo można było w ten sposób rozpoznać zapożyczenia w danym języku z innego języka. Na przykład niemieckie słowo *Grenze* nie może być słowem odziedziczonym z pradawnych germańskich czasów, raczej jest zapożyczone z jakiegoś języka słowiańskiego, może z polskiego. Bo niemieckie *z* nigdy nie odpowiada słowiańskiemu *c*, lecz raczej spółgłosce *d*, jak na przykład w wyrazach *sitzen* 'siedzieć', scs. *sedeti* lub niem. *zehn* ~ pol. *dzie-*

się, scs. *deseti*. A na kierunek zapożyczenia, czyli na miejsce pochodzenia, wskazuje fakt, że w języku niemieckim słowo to jest całkiem izolowane, natomiast w językach słowiańskich łatwo je można opisać jako formę zdrobniałą rzeczownika *grań*.

3. Sam fakt istnienia podobieństw oczywiście nie jest tego fenomenu uzasadnieniem! Dlatego powróćmy jeszcze raz do pierwotnego pytania: *dlaczego pewne języki są do siebie bardziej podobne niż inne?*

Istnieją dwie teorie, które można nazwać teorią konwergencji i teorią dywergencji. Pierwsza została sformułowana w końcu 19. wieku przez Johannesa Schmidta i Hugo Schuchardta. Według niej na początku istniały różne dialekty, wpływające jeden na drugi, i w ten sposób coraz bardziej przybliżające się do siebie, przy czym jednak zachowały w dużej mierze swoją odrębność; teoria ta jest znana jako „teoria falowa" („Wellentheorie"): pojedyncze zjawiska wspólne rozszerzały się od jakiegoś środka jak fale, kiedy rzucamy kamień do jeziora. Natomiast teoria dywergencji, ustalona przez Augusta Schleichera, opiera się na modelu drzewa genealogicznego: od jednego prajęzyka, niby rodzica, wywodzą się wszystkie języki indoeuropejskie, oczywiście za pośrednictwem następnych generacji prajęzyków jak na przykład prasłowiańskiego, praceltyckiego, pragreckiego itd. Przykładem historycznym jest rozwój rodziny języków romańskich z jednego języka łacińskiego. Te teorie może opisują różne fazy prehistorii językowej: pewnie istniały epoki stabilnego sąsiedztwa różnych dialektów indoeuropejskich. Specyficznych kierunków rozwoju, które miały miejsce wewnątrz pojedynczych grup języków indoeuropejskich, nie można jednak zrozumieć, jeżeli się nie operuje koncepcją, że często dochodziło do rozłamu istniejącej wspólnoty językowej w wyniku wędrówek lub wypraw.

4. Grupę języków indoeuropejskich tworzą następujące języki i grupy językowe (wymienione są tylko najstarsze lub najważniejsi reprezentanci danej grupy)[3].

4.1. Grupa słowiańska: języki zachodniosłowiańskie (polski, czeski, słowacki, serbsko-łużycki oraz wymarły w 18. w. połabski), wschodniosłowiańskie (rosyjski, ukraiński, białoruski) i południowosłowiańskie (serbo-chorwacki, słoweński, macedoński, bułgarski oraz w 9. i 10. w. staro-cerkiewno-słowiański jako język najbardziej archaiczny, zachowujący jeszcze wiele cech języka prasłowiańskiego).

Ciekawe jest, że Słowianie przez dłuższy czas sąsiadowali z plemionami

[3] Przegląd i szczegółowy opis poszczególnych języków indoeuropejskich zawiera monografia *Języki indoeuropejskie*, red. L. Bednarczuk, t. 1-2, Warszawa (PWN) 1986, 1988.

irańskimi, co potwierdza szereg zapożyczeń. Do takich należy chyba specyficzne znaczenie słowa „Bóg". Słowo to jest derywowane z rdzenia indoeuropejskiego *b^h*ag-* 'przydzielić'. Koncepcja, że Bóg jest to ten, który ludziom „przydziela", jest zawarta w religii indyjskiej i irańskiej, i stamtąd chyba przeniknęła do Słowian. Pierwotne znaczenie 'przydział' jednak u Słowian też się zachowało: Człowiek „bez przydziału" jest *ubogi*, w przeciwieństwie do człowieka, który „ma swój przydział", czyli *bogatego*. A „dobry przydział", czyli *zboże*, jest właściwszym imieniem Słowianina, zwłaszcza Polaka, bo tylko w języku polskim istnieje to słowo w tym znaczeniu; spółgłoska *z-* na początku słowa wywodzi się z praindoeuropejskiego prefiksu *su-*, znaczącego 'dobry'.

4.2. Grupa bałtycka (języki: litewski, łotewski, oba udokumentowane od 16. wieku oraz wymarły język staropruski, do 17. wieku mówiony w dawnych Prusach Wschodnich); pierwsze dokumenty sięgają 14. wieku. Niektórzy przypuszczają, że języki słowiańskie i bałtyckie stworzyły kiedyś osobną grupę bałtosłowiańską. Uważam jednak, że dokumentacja dla takiej teorii nie jest wystarczająca; wspólne innowacje obu grup raczej tłumaczą się sąsiedztwem prahistorycznym.

4.3. Grupa germańska: języki wschodniogermańskie (gocki, zachowany przekładem Biblii z 4. w., opracowanym przez biskupa Wulfila), północnogermańskie (staronordycki, pierwsze zabytki to napisy runiczne datujące się od końca 2. w. n.e., pisane w alfabecie stworzonym na podstawie północnoetruskich alfabetów z północnych Włoch, a od 8. wieku staronordycka literatura), zachodniogermańskie (staroangielski i starowysokoniemiecki od 8. w., staro-saksoński od 9. w.).

4.4. Grupa celtycka: w starożytności język galijski (we Francji ca 400 napisów od ok. 200 p.n.e. aż do 200 n.e.), leponcki (we Włoszech płn., kilka napisów od 5. do 1. w. p.n.e.) i celtoiberyjski (w Hiszpanii, 2.-1. w. p.n.e.). W okresie średniowiecznym i nowożytnym staroirlandzki (napisy od 5. w. n.e., literatura od 7.), walijski (starowalijski od 8. w.), bretoński, mówiony w Bretanii, i (wymarły w 18. wieku) kornwalijski, mówiony w angielskiej prowincji Cornwall.

4.5. Najważniejszym reprezentantem grupy italskiej jest język łaciński – ze względu na swoją dawną tradycję – pierwsze teksty sięgają 7. wieku p.n.e.) oraz na obszerność literatury i rolę, którą odgrywał w kulturze europejskiej. Poza łaciną trzeba jeszcze wymienić kilkanaście dialektów mówionych na Półwyspie Apenińskim, jak np. umbryjski lub oskijski. Wszystkie te języki są zachowane wyłącznie w napisach z 5. lub 4. wieku przed naszą erą i wszystkie wymarły na początku naszej ery.

4.6. Z języków mówionych kiedyś na Półwyspie Bałkańskim przed przyjściem Słowian zachował się (poza rumuńskim należącym do języków

romańskich) język albański, tworząc odrębną jednostkę wśród wyliczonych grup językowych. Jest on udokumentowany jednak dopiero od 15. w. n.e.

4.7. Język grecki jest udokumentowany od 14. wieku przed naszą erą i w użytku do dnia dzisiejszego, czyli przez 3300 lat. Tym sposobem chyba jest językiem z najdłuższą tradycją na świecie. Szczególnie wartościowe dla indoeuropeisty są utwory Homera z 8. wieku ze względu na archaiczny język.

4.8. Najstarszym językiem, czyli językiem z najstarszą tradycją literacką jest jednak język hetycki, w którym napisy są zachowane od 17. wieku p.n.e. Język ten był używany w środkowej i wschodniej części Anatolii i razem z innymi językami mniej więcej z tego samego okresu, jak: luwijski i palajski tworzy grupę języków anatolijskich. Wszystkie te języki wygasły już w starożytności. Poza tym w centralnej Anatolii mówiono językiem frygijskim, który znów trzeba ująć jak osobną grupę. Język ten występuje w napisach od 8. wieku przed naszą erą do początku naszej ery.

4.9. Tradycja języka ormiańskiego zaczyna się, jak w przypadku gotyckiego, od przekładu Biblii w 5. wieku.

4.10. Trochę później datują się teksty tocharskie, pochodzące z 6., 7. i 8. wieku. Języki tocharskie znów tworzą odrębną grupę. Tu znajdujemy się w orbicie kultury indyjskiej, bo zachowały się głównie tłumaczenia literatury buddyjskiej z sanskrytu.

4.11. Ostatnia grupa to języki indoirańskie. Mają one szczególną wagę dla indoeuropeistyki, bo staroindyjski (sanskryt), zwłaszcza jego najstarsza forma występująca w tzw. Wedach, ma strukturę tak archaiczną, a równocześnie tak przejrzystą, że na początku 19. wieku ów język prawie identyfikowano z prajęzykiem indoeuropejskim. Najstarsza część Wedy, czyli Rigweda powstawała od 15. wieku przed naszą erą. Zawiera więcej niż 1000 hymnów religijnych. Od czasów klasycznych (tzn. od 5. wieku p.n.e.), istnieje bogata literatura we wszelkich gatunkach. Języki irańskie w starożytności są udokumentowane w dwóch językach, z jednej strony w języku awesta, języku literatury religijnej zwolenników Zaratustry, a poza tym w języku staroperskim, używanym od końca 6. wieku p.n.e. przez królów perskich dla uwiecznienia swoich czynów.

5. I tak kończąc podróż przez krainę indoeuropejską, wracamy do problemów i tematów ściślej lingwistycznych. Bo skoro ustalono, dlaczego wszystkie te wymienone języki i grupy językowe są podobne do siebie (pochodzą z wspólnego prajęzyka), jakie problemy jeszcze pozostają?

Po pierwsze: dane, które otrzymamy z tych pojedynczych języków, pozwalają nam na rekonstrukcję owego prajęzyka. Oczywiście możemy rekonstruować tylko pewne części systemu, zwłaszcza wtedy, kiedy chodzi o systemy „zamknięte", z mniej więcej znaną liczbą komponentów. Takim systemem

zamkniętym jest np. system fonologiczny, zawierający według naszych rekonstrukcji 34 fonemy, co odpowiada przeciętnej liczbie fonemów w językach świata. Dosyć dobrze można zrekonstruować fleksję nominalną: prajęzyk miał osiem przypadków, czyli o jeden więcej niż język polski (w językach słowiańskich zaginął ablativus, co najmniej jako osobna kategoria, w genetiwie jest jednak zachowana końcówka *-a* jak *król, króla*). I poza liczbą pojedynczą i mnogą istniała jeszcze liczba podwójna.

Bardziej skomplikowany był system werbalny, zresztą w wielu językach indoeuropejskich jest tak do dziś. Najlepiej jest zachowany w języku greckim i w języku sanskryt, pewne cechy można poznać jednak też na podstawie języków słowiańskich. Okazuje się, że tak jak języki słowiańskie prajęzyk rozróżniał dwa aspekty, czyli aspekt dokonany i niedokonany, jednak innym sposobem: zamiast prefiksacji czasowników (*pisać, napisać* itp.) prajęzyk używał różnych tematów do wyrażenia aspektu, np. tzw. aorystu (zachowany jeszcze w języku scs) do aspektu dokonanego, a tematu praesens i tematu perfectum do aspektu niedokonanego.

Trudniej o rekonstrukcję słownika – oczywiście o niektórych słowach dobrze wiemy, że musiały istnieć już w czasach praindoeuropejskich, w innych przypadkach znamy tylko reguły, według których można było tworzyć słowa. Istniała na przykład z pewnością nazwa ptaka gęś – staroindyjskie *hamsa-*, łacińskie *(h)anser*, greckie *khen*, niemieckie *Gans* – czyli ten ptak musiał chyba grać ważną rolę dla Indoeuropejczyków.

Jeżeli chodzi o rekonstrukcję składni, znajdujemy się zupełnie na początku. W morfologii już orientujemy się na tyle, że możemy się odważyć na wnikanie w prahistorię języka praindoeuropejskiego, bo i ów język, tak jak każdy, ostatecznie znajduje się na końcu długotrwałego rozwoju obejmującego cały okres epoki kamiennej. I tak np. stwierdzamy, że zróżnicowanie płci żeńskiej i męskiej, co najmniej na płaszczyźnie językowej, jest dosyć wtórne. Pierwszy system, do którego możemy dotrzeć, rozróżniał tylko istoty ożywione i nieożywione albo może lepiej istoty zdolne do samodzielnego działania i istoty do tego niezdolne. Te ostatne weszły potem w genus neutrum, a istoty żeńskie i męskie odróżniono po prostu różnymi słowami według typu – *żona, mąż*; *córka, syn*; *krowa, byk* itd.

6. Drugim zadaniem indoeuropeisty jest rekonstrukcja prahistorii pojedynczych języków i grup językowych. W grę wchodzą na przykład takie pytania, jak: jeżeli prajęzyk indoeuropejski miał system aspektowy, który jednak morfologicznie różnił się wyraźnie od słowiańskiego, jakie zmiany zachodziły, żeby dojść od jednego systemu do drugiego? Albo: niektóre języki mają – w przeciwieństwie do języka praindoeuropejskiego – osobną kategorię dla wyrażenia czasu przyszłego, czyli futurum. W jaki sposób taka kategoria

mogła powstać, jakie możliwości morfologiczne zostały wykorzystane itd?

7. Chociaż rekonstruowany język jest na pierwszy rzut oka abstrakcją, jednak trzeba wyjść z założenia, że kiedyś istnieli ludzie, którzy mówili tym językiem, bez względu na to, jak dobrze nam się uda ta nasza rekonstrukcja. Trzecie zadanie więc polega na tym, aby zbadać, kiedy ten język był używany, gdzie żyli ci ludzie, czy można coś powiedzić na temat ich kultury materialnej, a może nawet i duchowej? Wbrew pozorom da się ustalić dosyć dużo faktów. Zaczynam od epoki.

Wydaje się, że prajęzykiem indoeuropejskim mówiono na końcu epoki kamiennej, w tak zwanych epokach kamienia i miedzi, mniej więcej na końcu 5. tysiąclecia p.n.e. Wskazuje na to istnienie jednego i tylko jednego słowa oznaczającego metal, zachowane przez łac. *aes*, staroindyjskie *ayas* 'miedź'. Indoeuropejczycy znali więc tylko jeden metal, co przemawia za usytuowaniem ich właśnie w danym okresie. Do tego dochodzi argument oczywiście słabszy, że słowo to nie jest motywowane, to znaczy nie da się analizować semantycznie i przypisać znanemu rdzeniowi. Nazwa drugiego metalu (por. łac. *argentum* 'srebro', jest motywowana: opiera się na imiesłowie czasownika **harg-*, 'być białym'. Srebro więc zostało nazwane metalem białym. Polska nazwa *srebro*, tak jak niemieckie *Silber*, chyba wywodzi się z jakiegoś zapożyczenia przejętego od nieznanego języka mówionego może w Hiszpanii, bo tam owo słowo po raz pierwszy występuje w pewnym napisie celtyckim. Zresztą Hiszpania w starożytności była słynna ze swoich kopalń srebra.

Trudniej z obszarem, który mógłby uchodzić za indoeuropejską praojczyznę. Na trasie między Niemcami wschodnimi i Kaukazem, a nawet i Anatolią, wszystkie tereny już były proponowane. Argumenty częściowo polegają na nazwach roślin lub zwierząt występujących w pewnej ilości języków. Znany jest np. tak nazywany „argument bukowy". Buk (niem. *Buche*, łac. *fagus*) występuje tylko na zachód od linii sięgającej od Królewca do Odessy, co wskazywałoby m.in. na Polskę jako praojczyznę Indoeuropejczyków. Inny argument polegał na stwierdzeniu faktu, że łosoś (niem. *Lachs*), nazwa którego znów występuje w różnych językach, żyje tylko w rzekach płynących do Bałtyku, a nie na przykład do Morza Czarnego, co znów by wskazywało na jakiś teren w Polsce lub w przygranicznych strefach. Problem polega jednak na tym, że trudno ustalić, czy Indoeuropejczycy *bukiem* lub *łososiem* nazywali rzeczywiście tę samą roślinę lub rybę co my, czy raczej jakąś inną „istotę bukopodobną" lub „łososiopodobną". Po za tym na razie nie wiemy, czy obszar rozpowszechnienia 6 lub 7 tysięcy lat wstecz był taki sam co teraz.

Całkiem innego typu jest ten argument, że Indoeuropejczycy byli prawdopodobnie koczownikami, pasącymi swoje bydło i konie, co trudno wyobrazić sobie w lasach środkowej Europy, przypominających wtedy puszczę Białо-

wieską. I tak uważa się, że praojczyzna leżała w stepach południowej Ukrainy i Rosji.

8. O kulturze materialnej i ekonomii przy okazji już trochę powiedziano. Zajmowali się więc hodowlą bydła i owiec, koza nie była oswojona. Nieregularnie, może nawet raczej wyjątkowo uprawiano ziemię, bo terminologia, związana z rolnictwem, jest ograniczona do języków zachodnich. Znane były wóz i koło. Najwyższą organizacją społeczną był klan, wspólne miejsce zamieszkania, może teren ogrodzony z paroma budynkami dla pojedynczych rodzin – nazwano po indoeuropejsku **wik-*, co odpowiada dokładnie polskiemu słowu *wieś*. Szefem takiej wsi był **vik'-poti-* (por. st.-ind. *viśpati-* 'gospodarz' lub lit. *wieśpats*). Wychodząc za mąż, dziewczyny opuszczały własną rodzinę, udając się do rodziny męża. Najbardziej ulubioną zabawą młodzieży męskiej było wypędzanie bydła od innych klanów, tak o tym opowiadają czy wręcz to opisują najstarsze źródła literackie staroindyjskie, greckie i celtyckie.

O wiele trudniejsze są oczywiście stwierdzenia dotyczące kultury duchowej. Wiemy jednak, że już istniała literatura ustna, i to w wierszach. Znamy nawet pewne metra, zachowane tak w tekstach Rigwedy, jak i w najstarszej liryce greckiej pisanej przez poetkę Safo z Lesbos. Znamy nawet zwrot poetycki, który może daje nam wskazówkę o treści takiej poezji indoeuropejskiej, mianowicie *kléos áphthiton* po grecku, po staroindyjsku *aksitam śravas* 'sława niezniszczalna'. Taki zwrot ma sens tylko w odniesieniu do człowieka, nie do Boga. Chodziło więc w takich pieśniach o zwiastowanie sławy pojedynczych osób, zdobywanej czynami heroicznymi, jak to zresztą jeszcze opisuje Homer, a co było szczególnie ważne w czasach, gdy nie znano pisma. Wtedy pieśń poety była jedyną możliwością przetrwania w pamięci ludzi. Odpowiednie do tej roli było chyba i wynagrodzenie – według tradycji celtyckiej najmniejszą stawkę uchodzącą za właściwą był koń.

Religia była z pewnością politeistyczna, mimo to da się rekonstruować nazwa tylko jednego Boga – **dyeus* 'ojciec', czyli po staroindyjsku *Dyaus-pitar*, po grecku *Zeus patér*, a po łacinie *Iupiter*. Rolę matki chyba pełniła ziemia według przejrzystej metaforyki.

Ten opis życia Indoeuropejczyków można by jeszcze długo kontynuować. Już nie wszystkie wnioski opierają się na argumentach czysto lingwistycznych – sięgamy po tradycję literacką najstarszą lub reprezentującą etap dosyć archaiczny, na przykład staroirlandzką.

9. Na końcu jeszcze jedna uwaga: indoeuropeistyka została już wykorzystana (zwłaszcza w pierwszej połowie naszego wieku) do celów szowinistycznych, by np. „udowodnić" wyższość jednego narodu nad drugim. Z punktu widzenia indoeuropeistyki trzeba jednak powiedzieć, że wszyscy – Polacy,

Niemcy, Anglicy, Włosi, Irańczycy itd. mówimy po prostu różnymi dialektami indoeuropejskimi. Zajmując się tyloma kulturami różnorodnych narodów, myślę jednak, że należy dojść do wniosku odmiennego: wszystkie narody indoeuropejskie mają swój wkład w tym wspólnym dziedzictwie kulturowym, które jest częścią ogólnej kultury ludzkości na całym świecie.

Wykład prof. Gerharda Meisera został wygłoszony w języku polskim w marcu br. w budynku Wydziału Filologicznego. Organizatorami były katowickie koło Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego oraz Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej.

Gerhard Meiser jest profesorem Uniwersytetu im. Marcina Lutra w Halle, wybitnym specjalistą z zakresu indoeuropeistyki, polonistą z zamiłowania. Przez 3 lata był dziekanem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Halle, obecnie pełni funkcję prodziekana Wydziału Literaturoznawstwa i Językoznawstwa.

Najbardziej znane publikacje prof. Meisera z ostatnich lat to: *Lautgeschichte der umbrischen Sprache* (Innsbruck 1983), *Syncretism in Indo-European languages – Motives, process and results* (Transactions of the Philological Society, vol. 90, No. 2, 1992), *Das gerundivum im Spiegel der italienischen Onomastik*, [w:] *Sprachen und Schriften des antiken Mittelmeerraums. Festschrift für Jürgen Untermann zum 65. Geburtstag*. Herausgegeben von Frank Heidermanns, Helmut Rix und Elmar Seebold, Innsbruck 1993.

NASZE POLONISTYKI

László Kálmán Nagy

Kilka uwag o nauczaniu historii literatury polskiej na Węgrzech

Pragnę przedstawić przede wszystkim obecną sytuację związaną z nauczaniem literatury polskiej na Węgrzech oraz podzielić się kilkoma uwagami dotyczącymi recepcji tejże literatury nad Dunajem. Najpierw chciałbym jednak uczynić małą dygresję i w kilku słowach opowiedzieć o specyfice studiów polonistycznych na Węgrzech, gdyż istnieje bezpośredni związek pomiędzy nimi a recepcją literatury pięknej.

Nauczanie historii literatury polskiej jest ściśle związane z nauką języka polskiego. W formie zorganizowanej tylko jedno liceum ogólnokształcące w stolicy i jedno we wschodniej części Węgier ma kilkunastoletnią tradycję w nauczaniu języka polskiego jako obcego. Jest to Gimnazjum im. Władysława I w Budapeszcie i Gimnazjum im. Mihály'a Vitéza Csokonaiego w Debreczynie. W połowie lat osiemdziesiątych autor niniejszego artykułu także prowadził naukę polskiego w jednym z gimnazjów debreczyńskich. Obiecujące są także próby podjęcia takiego zadania przez dwie nasze absolwentki pracujące obecnie w Miskolcu. Na lekcjach polskiego nauczyciele mają niewiele możliwości do zaprezentowania utworów literackich. Ich starania muszą się ograniczyć do zapoznania uczniów ze słowami *Hymnu* oraz niektórymi wybranymi fragmentami wierszy Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza i Adama Mickiewicza.

Zupełnie inna jest sytuacja na studiach wyższych. Systematyczne kształcenie polonistów odbywa się w Budapeszcie od lat pięćdziesiątych, w Debreczynie zaś – w trzecim pod względem wielkości mieście na Węgrzech, gdzie od lat czterdziestych z przerwami działał lektorat języka polskiego – od roku 1974. Zarówno Uniwersytet Lóránda Eötvösa w Budapeszcie, jak i Lajosa Kossutha w Debreczynie kształci studentów polonistyki na samodzielnych

kierunkach. Oznacza to, że studia polonistyczne nie są związane ze studiami slawistycznymi. Filologię polską umownie zaliczamy do grupy tak zwanych, „małych filologii". Określenie to dotyczy oczywiście nie rangi kultury polskiej w świecie, a raczej liczby studentów i absolwentów, gdyż rzeczywiście nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania w kraju na absolwentów z takim wykształceniem. Wśród małych filologii polonistyka ma szczególne miejsce. Wynika to z dwóch głównych przyczyn. Po pierwsze: dzięki wielowiekowej, tkwiącej w głębi duszy naszych narodów przyjaźni, sporo młodych Węgrów ma szczególny sentyment do studiów polonistycznych. Naturalnie nie oznacza to, że po studiach łatwo można znaleźć pracę z dyplomem nauczyciela języka polskiego. Po drugie: filologia polska w odróżnieniu od chorwackiej, rumuńskiej, serbskiej, słowackiej i ukraińsko-rusińskiej nie jest filologią o charakterze narodowościowym. Jest ona przedmiotem zainteresowania przede wszystkim rodowitych Węgrów, zafascynowanych literaturą i kulturą polską, a nie przedstawicieli mniejszości narodowych, pełniących misję popularyzowania rodzimej kultury wśród narodowości mieszkających na Węgrzech.

W ostatnich dwóch, trzech latach wśród studentów polonistyki częściej można już spotkać osoby pochodzące z rodzin polsko-węgierskich. Wcześniej sama znajomość języka polskiego nie wystarczała do pomyślnego zdania egzaminów wstępnych, bowiem wszyscy studenci mieli obowiązek studiowania na co najmniej dwóch kierunkach. Dwukierunkowość studiów humanistycznych niby nadal obowiązuje, ale egzamin wstępny można pomyślnie zdać również wtedy, gdy kandydat odpowiada wymaganiom stawianym przez jeden z wybranych kierunków. Możliwe jest nawet zgłoszenie się tylko na jeden kierunek i dopiero w trakcie studiów wybranie kolejnego. Ma to ogromne znaczenie ze względu na przyszłość polonistyki węgierskiej, gdyż otwiera się możliwość przyjmowania tych „hobbystów", którzy w rzeczywistości interesują się tylko polonistyką i wcześniej odpadali w eliminacjach. Jednocześnie oznacza to kolosalne różnice wśród kandydatów pod względem stopnia znajomości języka i literatury polskiej.

Program nauczania języka i literatury ojczystej w szkołach podstawowych i średnich nie zapoznaje uczniów z żadnym polskim utworem literackim. W podręczniku literatury dla drugiej klasy w jednym tylko miejscu wymienia się nazwisko Mickiewicza obok wiersza *Do Matki Polki*. W antologii dla klas czwartych współczesną literaturę polską reprezentuje *Tren Fortynbrasa* Herberta.

Podobnie na uniwersyteckich studiach hungarystycznych od samego początku preferuje się literaturę zachodnią. Wśród lektur obowiązkowych w zasadzie nie ma żadnego polskiego utworu. Oczywiście nie wynika to z jakichś niepisanych zakazów, tylko działa błędne koło: literaturę światową wykładają

osoby, które wcześniej – jako studenci nie miały możliwości zapoznania się z literaturą czeską, polską, rumuńską i słowacką. Tylko nieliczni wykładowcy są na tyle zainteresowani kulturą środkowo-wschodnioeuropejską, że w ramach samokształcenia zapoznali się z utworami niektórych współczesnych twórców, pośród nich na przykład polskimi i starają się przekazać swą wiedzę – przeważnie w ramach zajęć nadobowiązkowych – nielicznemu gronu studentów. Ten stan rzeczy nie może być uznany za zadowalający, mimo że sytuacja podobnie przedstawia się na przykład w Czechach czy w Polsce. W zasadzie każda rodzima filologia lekceważy literaturę „małych narodów", a zakres programu literatury światowej ogranicza się zazwyczaj do literatury anglo-amerykańskiej, francuskiej, klasycznej, niemieckiej, rosyjskiej i włoskiej.

Uczniowie liceów zainteresowani literaturą polską są zdani najczęściej na własną intuicję, ponieważ absolwenci polonistyki budapeszteńskiej czy debreczyńskiej rzadko kiedy trafiają do szkół jako nauczyciele. Osoby pochodzące z rodzin mieszanych, zazwyczaj dużo lepiej znające historię literatury i kultury polskiej kontynuują tradycje rodzinne wywodzące się z czasów, kiedy matka czy ojciec chodzili do szkoły w Polsce. W związku z tym młodzież o pochodzeniu mieszanym korzysta z księgozbioru rodzinnego typowego dla wielu tysięcy polskich rodzin, a więc czyta przede wszystkim dzieła Bolesława Prusa, Władysława Reymonta i Henryka Sienkiewicza. Z półek bibliotek domowych znane im jest także nazwisko Marii Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej. Jeżeli znajomość literatury polskiej wśród nastolatków na Węgrzech chcemy ująć w ramy czasowe okresów literackich, to możemy stwierdzić, że zainteresowania, zdeterminowane tradycjami rodzinnymi i przekładami utworów polskich na język węgierski, które najczęściej przypadkowo trafiły do ich rąk, zlokalizowane są pomiędzy pozytywizmem a współczesnością. Przypadki dość ekstrawaganckiego podejścia do literatury polskiej wcale nie są odosobnione. Spotkaliśmy na kursach przygotowawczych do egzaminów wstępnych kandydata, według którego z całej literatury polskiej warto czytać tylko Sienkiewicza. Dla drugiego literatura zaczyna i kończy się na tekstach Jerzego Kosińskiego.

Tak więc istnieje ogromna przepaść pomiędzy znajomością literatury polskiej a faktycznymi, wcale nie ubogimi możliwościami, wynikającymi z dość pokaźnej ilości przekładów na język węgierski. Przecież regularnie ukazują się nie tylko książki klasyków, z Prusem i Sienkiewiczem na czele, ale również przekłady dzieł licznych pisarzy współczesnych, wśród których należy wymienić chociażby Tadeusza Konwickiego, Sławomira Mrożka, Wiesława Myśliwskiego, Tadeusza Nowaka, Tadeusza Różewicza, Władysława Terleckiego, Andrzeja Szczypiorskiego. Ponadto wydano na Węgrzech około piętnastu antologii opowiadań, poezji i dramatów poświęconych w całości

lub częściowo literaturze polskiej. Wszystkie one ukazały się w okresie powojennym.

Ponieważ liczba wydawanych woluminów reprezentujących mniej dochodową literaturę z wiadomych przyczyn ostatnio spada, przygotowanie historycznoliterackie studentów polonistyki na Węgrzech ma ogromne znaczenie zważywszy, że to oni mogą w przyszłości w znacznej mierze wpływać na to, jaka literatura trafi do rąk czytelnika węgierskiego. Przecież to właśnie przede wszystkim oni, absolwenci polonistyki, zostaną – lub powinni zostać – tłumaczami. Tu chciałbym zaznaczyć, że w przypadku prozy przekład z języka trzeciego na szczęście należy już do przeszłości. Metodę tę nagminnie stosowano w okresie międzywojennym, tłumacząc niektóre utwory polskie z języka niemieckiego. Tak samo zresztą przekładano wówczas klasykę rosyjską, na przykład powieści Lwa Tołstoja.

Mając na uwadze stawiane przed przyszłymi tłumaczami zadanie wyrobienia własnej hierarchii wartości odnośnie literatury polskiej w celu udostępnienia czytelnikom tego, co najwartościowsze lub najciekawsze z punktu widzenia Węgrów, możemy zadać pytanie: w jaki sposób studenci mogą zdobyć wiedzę niezbędną do takiej orientacji? Odpowiedź jest oczywista – w trakcie studiów należy wyposażyć ich w taką wiedzę, która w przyszłości umożliwi im swobodne poruszanie się w procesie historycznoliterackim, w szczególności zaś w literaturze współczesnej. Musimy jednak pamiętać o tym, że studenci polonistyki literaturą dwudziestego wieku zajmują się bez żadnego przygotowania wyniesionego ze szkoły średniej – i to tylko przez trzy semestry. Więcej czasu i zajęć po prostu nie da się wygospodarować z powodu dwukierunkowości studiów oraz dlatego, że studenci muszą uczyć się przede wszystkim samego języka. Z tego samego powodu szczegółowe opracowania polskie z zakresu literatury współczesnej tylko w bardzo ograniczonym stopniu są przydatne dla studentów węgierskich. Polszczyzna tych wydawnictw dla nie-Polaków jest zbyt zawiła, skomplikowana, a zakres materiału – zbyt szeroki. Studenci nie są w stanie z nich korzystać, a na wykładach i zajęciach seminaryjnych możliwe jest omówienie jedynie dość skromnej części materiału. Dla orientacji podaję, że studenci polonistyki w Debreczynie z historii literatury – nie licząc ewentualnych zajęć fakultatywnych – mają tygodniowo jedną godzinę wykładu i dwie godziny seminarium.

Aby Węgrzy studiujący literaturę polską mogli gruntownie ją poznać i zrozumieć, niezbędne są opracowania i antologie, przygotowane specjalnie dla nich. Dotychczas takich prac nie było. Jako synteza istniała jedynie książka pt. *A lengyel irodalom története* (*Historia literatury polskiej*) napisana po węgiersku przez zmarłego kilka lat temu historyka literatury i badacza kontaktów polsko-węgierskich Endre Kovácsa. Ta książka została wydana w roku 1960.

Dopiero w roku 1993 ujrzał światło dzienne pierwszy polskojęzyczny skrypt z zakresu współczesnej literatury polskiej, napisany przez Węgra dla Węgrów. Autorem jest absolwent UMCS, kierownik Katedry Języka i Literatury Polskiej Uniwersytetu Lajosa Kossutha w Debreczynie, doc. dr István Molnár. Książka została zatytułowana *Századunk lengyel irodalma 1891-1981. Irodalomtörténeti vázlat és antológia*, czyli *Literatura polska XX wieku 1891-1981. Zarys historycznoliteracki i antologia*. Redaktorem technicznym i autorem części not biograficznych jest mgr Anna Sprawka, pracownik UMCS, obecny lektor języka polskiego w katedrze polonistyki w Debreczynie. Pionierską pracę recenzowała prof. dr hab. Maria Woźniakiewicz-Dziadosz, kierownik Zakładu Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej UMCS. Maria Woźniakiewicz-Dziadosz w latach 1987–1990 była lektorem języka polskiego Uniwersytetu Lajosa Kossutha, więc specyfikę i trudności związane z nauczaniem historii literatury polskiej na Węgrzech zna ona z autopsji.

Autor borykał się z licznymi trudnościami natury technicznej. Z powodów finansowych książka nie mogła przekroczyć objętości trzystu pięćdziesięciu stronic, toteż zastosowano w druku drobne czcionki i szereg skrótów nieco utrudniających odbiór. Z tejże przyczyny brakuje także ilustracji. Niemniej jednak książka świetnie nadaje się nie tylko dla studentów przygotowujących się do egzaminów, lecz także dla innych osób znających język polski i pragnących poznać literaturę kraju nad Wisłą. Istotną nowością w porównaniu z polskimi opracowaniami historycznoliterackimi jest to, że autor, który jest także hungarystą, w wielu miejscach zwraca uwagę na liczne podobieństwa typologiczne w najnowszej literaturze polskiej i węgierskiej. Wskazuje również na kontakty literackie naszych

D. Molnár István

Századunk lengyel irodalma 1891–1981

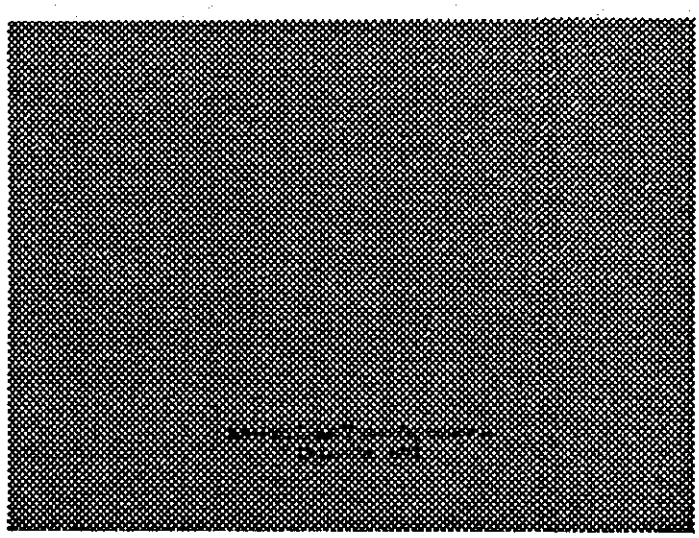

narodów, a także na przejawy zainteresowania pisarzy i poetów polskich – zwłaszcza uchodźców z czasów ostatniej wojny – Węgrami.

We *Wstępie* autor wyjaśnia czytelnikowi koncepcję podręcznika. Wymienia najpopularniejsze, używane przez polskich studentów opracowania z zakresu historii literatury współczesnej oraz nazwiska dwudziestu kilku najbardziej znanych tłumaczy literatury polskiej. Trzon obowiązkowego materiału stanowi zarys historycznoliteracki XX wieku, który jest niezbędną pomocą i vademecum dla każdego studenta. Dzieli się on na trzy podrozdziały, które odpowiadają przyjętym w literaturoznawstwie polskim kryteriom periodyzacyjnym. Tak więc osobno jest omawiana literatura Młodej Polski, okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej oraz literatura okresu powojennego. W tym ostatnim szczególne miejsce zajmują problemy periodyzacyjne ostatnich pięćdziesięciu lat oraz informacje dotyczące literatury emigracyjnej.

Najważniejsze zjawiska i tendencje literatury oraz życia literackiego zostały przedstawione na tle dominujących prądów ideowych, filozoficznych, zagranicznych inspiracji, warunków polityczno-społecznych i historycznych. Właśnie te ostatnie są szczególnie cenne dla młodych ludzi, dla których na przykład wydarzenia polskie roku 1968 lub 1970 są historią – i to niezbyt znaną, a odległą. Te odwołania stanowią jednocześnie uzupełnienie wiedzy studentów, zdobytej na pierwszym roku studiów na zajęciach z historii Polski i kultury polskiej. Wszędzie, gdzie jest to uzasadnione, autor odnotowuje podobieństwa lub różnice między rozwojem polskiej i węgierskiej literatury narodowej. Mimo że studenci, będąc w szkole średniej, musieli wiele uwagi poświęcić nauce literatury węgierskiej, to mają oni poważne trudności z kompleksowym traktowaniem jej. Rzadko kiedy potrafią umieścić zjawiska literatury narodowej w szerszym kontekście europejskim, ideowym lub historyczno-politycznym. Książka Molnára w dużym stopniu przyczynia się do syntetycznego spojrzenia na literaturę – spojrzenia godnego studenta humanistyki.

Trzecią część książki stanowi dość nietypowa antologia, odzwierciedlająca oryginalną i konsekwentną koncepcję autora. W odróżnieniu od większości podobnych polskich wydawnictw zawiera ona nie tylko wiersze, opowiadania i noty biograficzne, lecz także eseje, wypowiedzi programowe i krytyczne. Wiersze prezentowane są najczęściej w całości. Pozostałe teksty to przeważnie fragmenty najbardziej charakterystyczne dla danego utworu. Teksty beletrystyczne są poprzedzone notami biograficznymi. Niekiedy są to bardzo krótkie informacje, zawarte w kilku słowach. Taka zwięzłość obowiązuje wtedy, gdy brak tekstu beletrystycznego omawianego autora. Molnár starał się umieścić w antologii teksty stanowiące lektury obowiązkowe dla węgierskich studentów polonistyki z wymienionych trzech okresów literackich. Niezależnie

od tego nie zapomina o wielu innych autorach, również ważnych i cenionych w literaturze naszego wieku. Molnár wymienia stu pięćdziesięciu autorów. Znamienne jest to, że spośród nich stu dziewiętnastu było tłumaczonych na język węgierski. Ważnym kryterium wyboru autorów występujących w antologii było więc istnienie przekładów lub obecność motywów węgierskich w ich pisarstwie. Dlatego też znajdujemy na przykład informację o Stanisławie Broszkiewiczu, którego książka pt. *Kształt miłości* nota bene jest praktycznie jedyną na Węgrzech zbeletryzowaną biografią Szopena, ale nie możemy dowiedzieć się niczego o twórczości Seweryny Szmaglewskiej. Podobnie niewielka objętość hasła poświęconego Janowi Józefowi Szczepańskiemu nie odzwierciedla jego znaczenia i miejsca we współczesnej literaturze polskiej, z uwagi na to, że zostały zastosowane trochę inne niż w literaturoznawstwie polskim kryteria wartościowania. Mogą one niekiedy budzić kontrowersje i zastrzeżenia polskich badaczy. Niemniej jest to niewątpliwie oryginalna i twórcza adaptacja wiedzy cudzoziemca-polonisty o literaturze polskiej do warunków węgierskich. Przydatne okazuje się to, że na końcu poszczególnych haseł czytelnik zawsze znajduje informacje o ewentualnych przekładach: tytuł przekładu węgierskiego, rok wydania oraz w przypadku opowiadań i wierszy tytuł antologii lub czasopisma, w których można znaleźć dany utwór.

Przy kompletowaniu materiału autor korzystał z najróżniejszych źródeł. Trudno byłoby w tym miejscu wszystkie je wymienić. Znajdują się wśród nich powszechnie znane w Polsce opracowania historycznoliterackie łącznie z najnowszym *Słownikiem literatury polskiej XX wieku* oraz mniej popularne wydawnictwa, które ukazały się w drugim obiegu pod koniec lat osiemdziesiątych i z powodu braku wznowienia są ogólnie niedostępne na Węgrzech, jak na przykład *Literatura polska po 1939 roku. Przewodnik encyklopedyczny* pod redakcją Marka Witkowicza.

Ostatnie stronice książki zajmuje *Wybrana bibliografia*, dzieląca się na kilka części:

Syntezy historycznoliterackie i wydawnictwa encyklopedyczne
Zbiory studiów i esejów oraz monografie
Prace o literaturach Europy Środkowo-Wschodniej
Syntezy, monografie i zbiory studiów o literaturze Młodej Polski
Monografie i zbiory studiów o literaturze polskiej w latach 1918-39
Syntezy, monografie i zbiory studiów o literaturze polskiej po roku 1939
Polskie wybory tekstów literackich
Polskie teksty literackie w wyborach węgierskojęzycznych.

Na pierwszy rzut oka taki podział może się wydawać trochę skomplikowany, ale jest on niezmierne pomocny dla studentów, niezbyt orientujących się w morzu wydawnictw i nie wiedzących czego i gdzie szukać. Autor nie

miał zamiaru wymieniać wszystkich publikacji tego typu, wydanych w Polsce i na Węgrzech. Byłoby to zresztą niemożliwe. Dla polskich badaczy może być zastanawiające, dlaczego w bibliografii nie występuje na przykład *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939-1980* pod redakcją Bolesława Klimaszewskiego, który w ostatnim okresie w Polsce stał się jedną z najważniejszych pozycji omawiających literaturę emigracyjną. Otóż kryterium wyboru stanowił stan księgozbioru w bibliotece debreczyńskiej aktualny w czasie redagowania książki. Dotyczy to zarówno katedry polonistyki, jak i biblioteki uniwersyteckiej, będącej jedną z najważniejszych bibliotek narodowych na Węgrzech. Autor w zasadzie nie podaje więc tytułów takich utworów, których studenci i tak nie mogą wziąć do ręki. W bibliografii w dużym stopniu zostały uwzględnione wydawnictwa napisane przez badaczy węgierskich, a wśród nich tomy z materiałami zbiorowymi sesji naukowych w Budapeszcie i Debreczynie. Ważne miejsce zajmują również pozycje poświęcone historii polsko-węgierskich kontaktów literackich.

Studenci polonistyki już trzeci rok korzystają z tej książki. Widać, że podręcznik jest bardzo pomocny. Jak to w życiu bywa, aktualne roczniki traktują go jako coś oczywistego. Absolwenci zaś ubolewają nad tym, że w czasie ich studiów nie było go i musieli długo szukać w różnych rozproszonych źródłach, nim zebrali wiadomości niezbędne do egzaminu lub prac seminaryjnych. Można być niezadowolonym tylko z tego powodu, iż omawianie historii literatury autor zamknął datą 1981 roku. Tak więc istnieje już potrzeba wznowienia. Drugie wydanie powinno zawierać także informacje dotyczące historii literatury polskiej lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

István Molnár D.: *Literatura polska XX wieku. Zarys historycznoliteracki i antologia*. Debrecen 1993.

RECENZJE

K... – jak to łatwo powiedzieć

Maciej Grochowski, *Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996.

Ostatnie lata na rynku wydawniczym w Polsce zaowocowały mnóstwem pięknych i ciekawych książek. To bogactwo edytorskie wszystkich bardzo cieszy, bo wielce nam go za komuny brakowało. Inne urozmaicenie wydawnicze polega na zaniku pruderii – to już nie wszystkich raduje, ale i o obscenicznych książkach możemy powiedzieć, że bywają ciekawe i że jest ich mnóstwo.

Do roku 1989 rynek wydawniczy był w Polsce skrupulatnie kontrolowany; skrupulatność owa dotyczyła głównie sfery politycznej, choć i problematyka płciowa nie mogła się w pełni zrealizować w piśmie. Literaturę piękną o treści erotycznej (np. utwory Henry'ego Millera) zaczęto wydawać bez ograniczeń w zasadzie dopiero w ostatnich latach. Pruderia dotyczyła nie tylko dłuższych wypowiedzi o sprawach płciowych – dosięgła także pojedynczych wyrazów. Z tej przyczyny darmo szukać mocniejszych wulgaryzmów w słownikach. W szczególności ucierpiały wyrazy oznaczające narządy płciowe oraz czynności wykonywane przy użyciu tychże.

Jeśli jednak jeszcze niedawno były pewne niedostatki w tym zakresie, dziś już możemy ze spokojem odetchnąć, gdyż Wydawnictwo Naukowe PWN przedstawiło nam *Słownik polskich przekleństw i wulgaryzmów* zebranych pieczołowicie i opisanych skrupulatnie przez Macieja Grochowskiego, profesora Uniwersytetu w Toruniu.

Dzięki temu zyskujemy staranny opis przekleństw i wulgaryzmów; trzeba powiedzieć chyba: zbyt staranny, bo *Wstęp* do słownika autor napisał językiem specjalistycznym. Mamy tu więc cały szereg kontrastów stylistycznych, co może czytelnikowi wydać się zaskakujące, a nawet śmieszne, porównajmy

zresztą: „[...] jednostki wypowiedzeniowe typu *Cholera jasna! Kurczę blade!* mogą być dodawane jako parentezy do różnych wypowiedzeń bez naruszania ich poprawności syntaktycznej" (s. 14), „W wypadku jednostki *Kurza dupa!* tylko jej drugi podciąg pokrywa się z wyrazem hasłowym. Natomiast jednostka *Ja pierdolę!* pozostaje z punktu widzenia kształtu w relacji krzyżowania się z wyrazem hasłowym (*pierdolić*)" (s. 20). Chodzi – jak widać – o to, że autor przygotował pracę naukową o wulgaryzmach (co też ujawnia w *Przedmowie*), a potem sprzedał ją w opakowaniu popularnego słownika, książka ukazała się bowiem w PWN-owskiej serii z czarnym krukiem. *Wstęp* jest z tej przyczyny stanowczo zbyt uczony, autor nie oszczędził czytelnikom nawet swojej słynnej już w środowisku polonistów definicji jednostki leksykalnej (jest to „minimalny ciąg elementów diakrytycznych, niepodzielny [...] na takie podciągi, które reprezentowałyby klasy substytucyjne niezamknięte").

Skutek jest taki, że *Wstęp* jest dla językoznawców, a reszta książki już raczej nie. Nie wiem, jak było, ale prawdopodobne, że Grochowski napisał fachowo o wulgaryzmach, ale nikt tego nie chciał mu wydrukować. Zyskawszy więc życzliwość odpowiedniej redakcji w Wydawnictwie Naukowym PWN, ogłosił tenże tekst w książce, w której raczej oczekiwalibyśmy lżejszego stylu.

A dlaczego reszta książki już raczej nie jest dla językoznawców? Uczestniczyłem kilka lat temu w konferencji naukowej, której program przewidywał wystąpienie artykułu o – jak to elegancko określiła referentka – „wyrazach tzw. brzydkich". Autorka referatu z nadzwyczajnym mistrzostwem uniknęła jakiegokolwiek konkretu, co można sprawdzić, bo rzecz opublikowano. A kiedy w dyskusji przyparto ją do muru, dociekliwi chcieli bowiem poznać wyrazy brzydkie, przeprosiwszy kilkakroć starannie, ku wesołości ogółu wymieniła brzydki wyraz *przypieprzyć*. Ostatnio też w czasopismach językoznawczych pojawiały się głosy, że wulgaryzmów w słownikach jest zbyt dużo. Pogląd taki najżywiej wygłasza językoznawca, który miał być redaktorem słownika języka polskiego.

Dobrze więc, czy źle, że taki słownik wydano? Otóż dobrze, ponieważ – jak widać – niektórzy językoznawcy przypominają lekarzy, którzy się brzydzą wrzodów. Przekleństwa i wulgaryzmy to wyrazy o wysokiej frekwencji w języku, bez względu na ocenę tego zjawiska wymagają więc rejestracji w słownikach. Źle, że wydaje się książki zawierające wyłącznie taką warstwę słownictwa, tworzy to bowiem atmosferę niezdrowej sensacji, rozumiem jednak, że chwilowo mogło to się wydać konieczne. Cóż miał począć obcokrajowiec sposobiący się do władania polskim, słysząc zewsząd słówka takie, jak choćby *chuj* i *jebać*? Nie ma ich we współczesnych słownikach, chociaż to drugie podaje Samuel Bogumił Linde (w słowniku z początku XIX wieku). Maciej Grochowski wyjaśnia ich znaczenia – słynne słówko na *ch* ma znaczenia cztery,

jest też ponad czterdzieści związków frazeologicznych z jego użyciem. I nie należy się specjalnie oburzać na cokolwiek, bo obydwa wymienione słowa zostały opatrzone kwalifikatorem *wulg.!*; każdy już będzie wiedział, gdzie, kiedy, jak (i czy) ich używać.

Zasadniczo jednak słownictwo obsceniczne powinno być częścią słowników ogólnych. I tak też najpewniej stanie się w przyszłości, ponieważ tak być powinno.

Jan Grzenia

Od Adama i Ewy zaczynać...

Jan Godyń, *Od Adama i Ewy zaczynać... Mały słownik biblizmów języka polskiego*, Kraków-Warszawa 1995.

Prezentowana pozycja została wydana w serii małych słowników sygnowanej przez Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego w Krakowie.

Jest to publikacja popularna, przeznaczona dla szerokiego grona odbiorców, praktycznie dla każdego użytkownika polszczyzny. Dzięki swej uniwersalności może również służyć jako pomoc dydaktyczna tym, którzy uczą się języka polskiego jako obcego.

Przed właściwą częścią słownika autor zamieścił wstęp dotyczący korzeni frazeologii biblijnej i stylu biblijnego; opisał cel i budowę słownika; podał wykaz skrótów, źródeł i wyzyskanych przy opracowaniu książki wydawnictw. Wszystko to pomaga w korzystaniu z przedstawianej publikacji.

Przejrzysta budowa słownika ułatwia znalezienie poszukiwanego biblizmu, ponieważ autor zastosował układ alfabetyczno-hasłowy. Każdy przykład zapisano tyle razy, ile jest wyrazów składowych mogących być uznanymi w danym przykładzie za główne. Jest to ważne także dla cudzoziemców uczących się języka polskiego. Wielu z nich może zetknąć się z frazeologizmami w różnych wariantywnych formach.

Uczący się języka polskiego mogą tu odnaleźć bardzo popularne, obecne przede wszystkim w polszczyźnie potocznej biblizmy, np. *herod-baba, kopać pod kimś dołki, mamona, sądny dzień, niebieski ptak, umywać ręce* itd., które wymagają szerszego wytłumaczenia oraz nierzadko wskazania tła kulturowego. Pomoże w tym właśnie prezentowana publikacja.

Słownik biblizmów może okazać się przydatny również dla tych, którzy

w nauce języka obcego wykorzystują środki masowego przekazu. Liczne biblijne frazeologizmy, oprócz tego, że sącharakterystyczne dla języka potocznego, weszło na stałe do języka dziennikarzy i polityków, np. *alfa i omega, być na świeczniku, mieć czyste ręce, duch i litera prawa* itd. Omawiane wydawnictwo pomoże zatem zrozumieć specyfikę polskiego języka mass mediów.

Uczeń zaawansowany, stykający się z polszczyzną bardziej wyrafinowaną, znajdzie w prezentowanej publikacji biblizmy takie, jak: *przenieść się na łono Abrahama, miedziane czoło, gehenna, wdowi grosz* itd., które są bądź przestarzałe i przez to niezmiernie rzadkie, bądź charakterystyczne dla języka literatury pięknej.

Zainteresowani polskim piśmiennictwem również znajdą coś dla siebie. Przy niektórych przykładach autor umieścił nazwisko twórcy (czasami też tytuł dzieła), z którego spuścizny pochodzi dany przykład biblizmu. Wśród przywołanych postaci są takie sławy, jak: Jan Kochanowski, Wacław Potocki czy Cyprian Kamil Norwid.

Przedstawiony tutaj słownik jest na pewno cenną pomocą przy nauce języka polskiego jako obcego. Powinien być jednak przeglądany nie tylko w celu znalezienia danego hasła, ponieważ często można nie zdawać sobie sprawy z biblijnego pochodzenia frazeologizmu. Należy sięgać po słownik jak po ciekawą lekturę, która wiele powie o podstawach kulturowych języka polskiego.

Artur Rejter

Czerwony pas

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyszczy z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń
To strój, to życie górala.

Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa,
A wesoła kołomyjka do tańca porywa.
Dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie,
Gdy go losy w doły rzucą, wnet z tęsknoty zginie.

KRONIKA

WSPOMNIENIA Z UKRAINY

Zdarza się od czasu do czasu, że Letnia Szkoła wyjeżdża z wizytą. Tym razem po długich przygotowaniach kilkunastosobową grupą udałyśmy się na Ukrainę. W grupie tej były: wicedyrektor Szkoły dr Jolanta Tambor, współpracujące ze Szkołą prof. dr hab Danuta Ostaszewska, dr Ewa Sławkowa, mgr Danuta Krzyżyk oraz osiem studentek, członkiń Koła Naukowego Językoznawców.

Na pewno ktoś zapyta: dlaczego tam? Powodów jest kilka. Nie raz i nie dwa gościliśmy na wakacyjnych kursach uczestników z Ukrainy. Często były to osoby z polskimi korzeniami. Dla nich pobyt w Polsce i bezpośrednie zetknięcie się z polską kulturą przywoływało wspomnienia, powodowało łzy wzruszenia. Z kolei studenci polonistyki Uniwersytetu im. Franki we Lwowie, przyjeżdżając do nas, poznawali obiekt swych studiów.

W ten sposób nasze kontakty się zacieśniały. Zaproszeń na Ukrainę otrzymaliśmy wiele. Gorąco do wyjazdu namawiała wicedyrektor Letniej Szkoły dr Jolanta Tambor, która już raz była we Lwowie. Dzięki niej wyjazd doszedł do skutku. Wszystkie formalności, a tych naprawdę było co niemiara, przejęła na siebie.

12 maja w niedzielę o godzinie 12.15 wyruszyłyśmy na spotkanie Ukrainy.

Zaczęło się pomyślnie: pociąg do Lwowa przyjechał punktualnie, słońce właśnie wyszło zza chmur, a humory dopisywały. Nic nie było w stanie zepsuć dobrej atmosfery. Nawet kilkugodzinny postój na granicy związany z przystosowaniem pociągu do szerszego rozstawu torów był kolejną atrakcją.

Krajobraz Ukrainy roztoczył się przed naszymi oczami późnym popołudniem. Do Lwowa dotarłyśmy w środku nocy. Tam powitali nas ukraińscy przyjaciele Letniej Szkoły – Sasza Ławrynowicz i Andrzej Porytko oraz majowa burza, która należała do porządku lwowskich nocy. Dniami natomiast Lwów pokazywał się w pełnej krasie. Słońce i kwitnące kasztany dodawały miastu uroku. Okazałość i jednocześnie dumę lwowskich budowli spotykałyśmy na każdym kroku; począwszy od przepięknego witrażu Stanisława Wyspiańskiego w jednej z kamienic, poprzez pomnik Adama Mickiewicza, a skończywszy

na zdumiewająco wytwornej Operze Lwowskiej.

Olśnił nas również jeden z najstarszych uniwersytetów – Uniwersytet Lwowski, niegdyś im. Jana Kazimierza, a obecnie Iwana Franki. Miałyśmy wyjątkową przyjemność uczestniczyć w zajęciach dla studentów filologii polskiej. Niejedna z nas po raz pierwszy przekonała się jak trudnym językiem jest nasza mowa ojczysta.

Nadspodziewanie miłą okazała się także wizyta w polskiej Szkole Podstawowej we Lwowie. Tam tak naprawdę poczułyśmy ostoję polskości. Dzieci w tej szkole uczą się z zapałem, czytają polskie lektury, a co najważniejsze robią to z chęcią i z zaangażowaniem.

Nawet my, młode pokolenie, których co najwyżej dziadkowie pochodzą z kresów, poczuliśmy nostalgię i sentyment za polskimi, lwowskimi czasami.

Taki nastrój panował również na Cmentarzu Łyczakowskim. Wielka zaduma ogarnia Polaka, kiedy stoi przed grobem Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej.

Zabytki kultury polskiej odnalazłyśmy także poza Lwowem. Dzięki zaproszeniom uczestników poprzednich kursów Letniej Szkoły i niezmiernie miłego księdza Bazylego Pawełko z Żółkwi pojechałyśmy do miasteczka hetmana Żółkiewskiego. Tam jakby czas się zatrzymał. Nie ma w Polsce miasteczka, gdzie klimat dawnej Polski jest jak żywy. Wydawałoby się, że wystarczy tylko przebrać mieszkańców w XVII-wieczne stroje, a wielki hetman koronny Stefan Żółkiewski lub pan Wołodyjowski wjadą na dziedziniec zamkowy. Wielka szkoda, że nieliczni mogą zobaczyć tak zdumiewające pamiątki polskiej kultury.

W planie naszej podróży była jeszcze Kołomyja, małe miasteczko położone w dolinie Prutu. W Kołomyi mieszka Alina, studentka I roku filologii polskiej naszego Uniwersytetu. Nie mogłyśmy, będąc na Ukrainie, nie pojechać wraz z Aliną do jej rodzinnego miasta na Huculszczyźnie. Podróż do Kołomyi trwała kilka godzin, ale z kilometra na kilometr duma i radość Aliny rosła. Oglądałyśmy z okien autobusu żyzną Ukrainę – jak okiem sięgnąć czarnoziemy, a w oddali Karpaty.

Aż wreszcie dotarłyśmy do rodzinnego miasta Aliny. Radość nasza nie miała granic; cieszyłyśmy się, bo znalazłyśmy „ostatnie miejsce na Ziemi", a okazało się, że tam mieszkają najmilsi Polacy. Gościnność ich była zaiste polska, język polski wyborny. Kołomyja, słynna rzeka Prut, utrwalona w popularnej w Polsce piosence *Czerwony pas* (tekst piosenki na stronie 43), przesiąknięte do granic możliwości polskim klimatem. Nie pozostaje nic innego jak rzec: „a to Polska właśnie". Nie ma znaczenia, że w granicach innego państwa, bo gdzie serce i dusza Polaka, tam jego kraj.

Mirosława Ciupka

WIOSNĄ W LETNIEJ SZKOLE

W marcu z wizytą w Szkole gościli prof. dr hab. Gerhard Meiser, dziekan Wydziału Językoznawstwa i Literaturoznawstwa Uniwersytetu im. M.Lutra w Halle, oraz slawistka Jutta Frach. Prof. Meiser wygłosił wykład dla studentów polskich na temat: "Indoeuropejska wspólnota językowa. Praindoeuropejskie korzenie". Wykład wzbudził zainteresowanie także pracowników naukowych, szczególnie tych, którzy uczą gramatyki historycznej, historii języka polskiego i języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. Rzadko bowiem przy nauczaniu tych przedmiotów sięgają oni tak daleko, zazwyczaj uwaga wykładowców i studentów zatrzymuje się na wspólnym pniu słowiańskim - języku praslowiańskim. Niezwykle ciekawe więc było wysłuchanie z ust specjalisty-indoeuropeisty o tym, co było (najprawdopodobniej) jeszcze wcześniej.

2 maja tego roku dyrekcja Szkoły gościła z wizytą w Katedrze Polonistyki i Folklorystyki Uniwersytetu Ostrawskiego. Dr Romuald Cudak wygłosił dla studentów wykład o polskiej poezji współczesnej. Dr Cudak i dr Tambor uczestniczyli też w spotkaniu w Katedrze z jej kierownikiem prof. dr. hab. Jiřim Damborskim, dr Zofią Matyskową, mgr Janiną Raclavską i mgr. Kazimierzem Kaszprem. Spotkanie poświęcone było omówieniu dalszej współpracy. Było ono wyjątkowo uroczyste, gdyż odbyło się w kilka dni po uzyskaniu tytułu doktora przez panią Zofię Matyskową. Obrona odbyła się 18 kwietnia w Uniwersytecie Śląskim. Promotorem był prof. dr hab. Edward Polański z Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej, a recenzentami: prof. dr hab. Jan Miodek z Uniwersytetu Wrocławskiego i prof. dr hab. Mieczysław Basaj z Instytutu Filologii Słowiańskiej naszego Uniwersytetu.

Rok akademicki w Saksonii-Anhalt w RFN trwa dłużej niż w Polsce. Tak więc, kiedy w Uniwersytecie Śląskim sesja egzaminacyjna dobiegała już właściwie końca, w Halle zajęcia trwały w pełni. Przedstawiciele Szkoły, zaproszeni przez Katedrę Języka Polskiego Uniwersytetu im. M.Lutra, pojechali do Halle 9 czerwca. Dr Romuald Cudak wygłosił wykłady o poezji lingwistycznej, dr Jolanta Tambor o historycznych cechach polszczyzny, które pozostawiły ślad w dzisiejszych dialektach polskich.

polecamy:

. . . . . .

głoski polskie®

kaseta magnetowidowa i przewodnik wspomagające naukę wymowy głosek polskich

. . . . . .

Kaseta to 2 godziny nagrań wymowy głosek polskich w izolacji i w wyrazach.

Przewodnik to książeczka, która zawiera:
– opracowanie graficzne materiału nagranego na taśmie (palatogramy),
– ortograficzne odpowiedniki wymowy,
– na marginesach – identyfikatory czasu, które pozwalają śledzić jednocześnie nagranie na taśmie i zapis w tekście,
– indeksy, które ułatwiają przygotowanie zajęć z wykorzystaniem programu,
– uwagi o polskim systemie fonetycznym w języku polskim i angielskim

do nabycia w Letniej Szkole Języka,
Literatury i Kultury Polskiej

. . . . . .

gramatyka polska©

(grampol®)

wersja 3.0

komputerowy program

wspomagający naukę języka polskiego

program, który uczy i sprawdza wiadomości z zakresu:

☑ **oboczności w języku polskim,**

☑ **końcówek w odmianie wyrazów,**

☑ **rodzajów,**

☑ **imiesłowów,**

☑ **stron czasownika**

— **140 zestawów ćwiczeń i pokaźny zasób wiedzy teoretycznej w Pomocy**

— **dołączone do programu książeczki: instrukcja obsługi, przewodnik gramatyczny i indeksy przykładów ułatwiają instalację programu, pracę i przygotowanie ćwiczeń**

— **polskie litery już w programie**

— **niewielkie wymagania sprzętowe**: komputer z procesorem 386, twardy dysk (1,7 MB wolnej pamięci), karta graficzna VGA, system operacyjny DOS 3.0 lub nowszy

do nabycia w Letniej Szkole Języka, Literatury i Kultury Polskiej

POSTSCRIPTUM Kwartalnik Letniej Szkoły Języka, Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Redakcja: Jan Grzenia

Adres: Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej. Uniwersytet Śląski, pl. Sejmu Śląskiego 1, 40-032 Katowice, PO Box 270.

Internet: GRZENIA@homer.fil.us.edu.pl Nakład 250 egz.